Nr. 289. We Lwowie Sobota dnia 18. Grudnia 1886. Rok XIX.

WYCHODZI CODZIENNIE.

Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego," ulica Halicka liczb. 46.
Przedpłata wynosi we Lwowie rocznie 18 złr.—półrocznie 9 złr. — kwartalnie 4 złr. 50 ct. — miesięcznie 1 złr. 50 ct.
Z przesyłką pocztową w państwie Austrjackiem, rocznie 24 złr. — półrocznie 12 złr. — kwartalnie 6 złr.— miesięcznie 2 złr.
Z przesyłką pocztową za granicę, do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 12 marek 5 srg., do Francji i Anglji, Włoch i Szwajcarji rocznie 80 franków — kwartalnie 2. franków

Numer kosztuje 10 cnt.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

DZIENNIK POLSKI

Przedpłatę i ogłoszenia przyjmują we Lwowie:

Biuro Administracji „Dziennika Polskiego," plac Marjacki liczba, 6. i 7 w domu pana Kiselki: we Wiedniu, Hamburgu, Frankfurcie nad Menem, Berlinie, Lipsku, Bazylei, Szwajcarji i Wrocławiu pp. Haasenstein et Vogler, we Wiedniu A. Oppelik, R. Mosse, Rotter i Spł., w Warszawie Riehman et. Frendler, Biuro anonsów w Paryżu pułkownik Raczkowski Faubourg Poissonier 32.
Ogłoszenia przyjmuje się za opłatą 6 ct. od miejsca objętości jednego wiersza drobnym drukiem (petit).
Listy z pieniądzmi mają być przesyłane franko do Administracji „Dziennika Polskiego." Listy reklamacyjne nieopieczętowane nie podlegają opłacie.

Reklamy w rubryce „Nadesłane" 35 ct. od wiersza

Od wydawnictwa.

Z nowym kwartałem zapraszamy szan. pp. prenumeratorów do odnowienia prenumeraty w celu uregulowania nakładu i uniknięcia reklamacyj.

Przedpłata na „Dziennik Polski" wynosi:

Na prowincji z przesyłką pocztową:

rocznie	24 złr.	— ct.
półrocznie	12 „	— „
kwartalnie	6 „	— „
miesięcznie	2 „	— „

We Lwowie bez przesyłki pocztowej:

rocznie	18 złr.	— ct.
półrocznie	9 „	— „
kwartalnie	4 „	50 „
miesięcznie	1 „	50 „

Jako premie dla prenumeratorów naszych tak dawnych jak i nowych, ofiarujemy po porozumieniu się z księgarnią K. Altenberga, Dzieła **Krasickiego**, 3 tomy, **Kochanowskiego**, 2 tomy, **Trembeckiego**, 2 tomy i **Węgierskiego** tom 1, — razem więc 8 tomów w bardzo eleganckiem i starannem wydaniu, które kosztowały dawniej 7 złr., po cenie zniżonej 3 złr. 50 cnt.

Lwów 17. grudnia.

Kiedy Czesi prowadzili prawno-państwowy spór z centralistami austrjackimi i uchylili się od udziału w Radzie państwa, wtedy zaznaczano w Czechach na każdem miejscu to stanowisko opozycyjne i używano jak najsilniejszych środków, aby zmusić Rząd do uznania czeskich praw narodowych.

Wtedy to zaczęli politycy czescy objawiać swe sympatje dla Rosji, nietyle może z przekonania, ile ze względów utylitarnych, celem robienia niem skuteczniejszej opozycji. W tej to nieszczęśliwej epoce przypadły odwiedziny dra Riegera w Moskwie, które tak niemile dotknęły Polaków i rzuciły zarzewie niezgody pomiędzy obydwa narody pobratymcze.

Z biegiem czasu zmieniły się zupełnie stosunki. Czesi weszli do Rady państwa i stanowią dziś cząstkę stronnictwa — *sit venia verbo* — rządzącego, podczas gdy centraliści objęli rolę opozycji. Odpadła więc potrzeba demonstrowania sympatjami dla Rosji, które też nie mając gruntu właściwego, zniknęły z szachownicy politycznej i programu przewódców narodu czeskiego. Nie zniknęły jednak niestety z myśli mas czeskich, szczególnie tej półinteligencji, która nie licząc się nigdy ze stosunkami, czuje się wiecznie obowiązaną do opozycji, a to pod hasłem pracy dla dobra ojczyzny. Tę dobrą wiarę dobrodusznych patrjotów czeskich, wyzyskują agitatorowie panslawistyczni, aby w przyszłych zawikłaniach mieć grunt korzystny dla swoich celów politycznych. A że trafili na teren dość łatwy, dowodem na to jest ogromna liczba prenumeratorów *Narodnich Listów*, które propagują dążności panslawistyczne wśród Czechów, podczas gdy inne pisma czeskie zaledwie wloką swoją egzystencję.

Nie dziw więc, że panslawiści rosyjscy z takiem niezadowoleniem spoglądają obecnie na tych trzeźwych polityków czeskich, którzy dokładają wszelkich starań, aby w masy narodu wszczepić przekonanie, że sympatje dla Rosji były niegdyś tylko środkiem do osiągnięcia pewnego celu politycznego, ale nie leżały nigdy w interesie narodowym Czechów, bo w dalszej konsekwencji tak zgubnej polityki dosięgnąłby ich ten sam los, jaki spotkał Polaków. Niechęć tę do polityków czeskich objawił w panslawistycznem Towarzystwie dobroczynności w Petersburgu Łamańskij, jeden z koryfeuszów stronnictwa Katkowa.

Z tego powodu pisze ostatnia *Politik*: „Profesor Łamańskij na ostatniem posiedzeniu słowiańskiego Stowarzyszenia Dobroczynności w Petersburgu miał mowę, w której między innemi wyraził szczególnie swoje niezadowolenie z naszej polityki w ogóle, a z p. Riegera w szczególności, któremu zarzuca, iż jest zbyt austrjackim i zbyt katolickim. Gdyby prof. Łamańskij miał był w swem życiu sposobność działać jako polityk w państwie konstytucyjnem, czy to jako naczelnik stronnictwa, czy jako członek Parlamentu, toby prawdopodobnie w swych sądach o naszych sprawach, które zresztą zna tylko ze słuchu, był cośkolwiek wstrzemięźliwszym. Przedewszystkiem szanowny profesor zdaje się nie wiedzieć, że dr. Rieger z urodzenia jest katolikiem, że zatem nie potrzebuje być inspirowanym dopiero przez swoją żonę katoliczkę, damę, która u nas cieszy się powszechnem uszanowaniem. Zresztą, czyżby mógł być rzetelnym reprezentantem swego narodu, gdyby był w sprzeczności z przeważającą jego większością? Że dr. Rieger w pierwszej linji występuje w interesie Austrji, w której tkwi indywidualna egzystencja jego narodu, to jest — jak się samo przez się rozumie — spełnieniem obowiązku i nie może być mu poczytane za zarzut."

Odpowiedź organu Staroczechów uważamy za oznakę jakiejś słabości politycznej. Nie tak odpiera się insynuacje, nie tak w ogóle wyraża się dogmata wiary politycznej. Przypuśćmy wszakże, że redakcja *Politik* nie znalazła chwilowo słów dosadniejszych, dziwimy się istotnie, dlaczego pismo to w tak ostentacyjny sposób wypiera się wpływu pani Rieger na postanowienia jej małżonka.

Kiedy poseł Tonner miał przed kilku laty we Lwowie odczyt o upadku i wzniesieniu się narodu czeskiego, rzekł te pamiętne słowa: „I wy byliście uciskani, ale wam łatwiej było wytrwać, bo na straży waszej narodowości stoją kobiety. Czeszki zaś były w tej nieszczęśliwej dla nas epoce apatyczne i zgermanizowane".

I miał słuszność p. Tonner. Kobieta-Polka, to ideał niedościgniony. Trzymając dziecię na ręku, całuje je z miłością macierzyńską i mówi doń: „Gdybym wiedziała, że nie będziesz dobrym Polakiem, tobym cię w tej chwili udusiła." A gdy zachodzi potrzeba obrony ojczyzny, wtedy Polka mówi do swojego kochanka: „Idź i walcz za ojczyznę, a gdy powrócisz, jako zwycięzca, wtedy będę twą żoną." Czyż może zginąć naród, który ma takie kobiety?

To też nie wypierajcie się i wy, bracia Czesi, wpływu takich kobiet, jaką jest małżonka Riegera. Oby wszystkie Czeszki poszły za jej przykładem, a wtedy zakwitłby u was patrjotyzm niezamącony domieszką sympatyj dla Rosji; wtedy spoglądalibyście z ufnością w przyszłość a z dumą na nasze kobiety.

Ten hołd, który Łamańskij złożył małżonce Riegera, niechby się stał dla wszystkich Czeszek zachętą do wstąpienia w jej ślady.

Końcowy akt wprowadzenia w życie nowej ustawy drogowej został dokonany, gdyż krajowa władza skarbowa wydała już podwładnym organom szczegółowe rozporządzenia co do poboru dodatków zaprowadzonych nową ustawą na cele drogowe. Repartycja ogólnego trzyprocentowego dodatku została zarządzona począwszy od dnia 1. października od należytości podatku gruntowego, domowo-klasowego, domowo-czynszowego, dochodowego i zarobkowego. Drugi dodatek, mający, jak wiadomo, zastąpić w niektórych miastach prestację w naturze, nie mógł być zaraz rozpisany, bo wysokość tego dodatku zawisła od obliczenia potrzeb drogowych.

Kwestje wątpliwe, które nasuwają się z aplikacji niektórych paragrafów nowej ustawy drogowej, jeszcze nie zostały wyczerpane, owszem co chwila ten i ów Wydział powiatowy podnosi wątpliwość i zwraca się do władz krajowych z prośbą o objaśnienie. Wszystkie tego rodzaju wątpliwości, przedstawione Wydziałowi krajowemu, poddane zostały pod rozwagę także Namiestnictwu jako władzy, która ustawą powołana została do wydania regulaminu wykonawczego.

Niedawno były w Sądzie cieszyńskim cztery posady opróżnione. Zdawałoby się, że minister Prażak zechce skorzystać z tej sposobności i w interesie wydanego przez siebie rozporządzenia zamianuje kandydatów, władających należycie językiem polskim, w Sądzie cieszyńskim niezbędnie potrzebnym. Jakież jednak było nasze zdziwienie, piszą ze Szlązka do *Nowej Reformy*, gdyśmy się przekonali, że w miejsce ubyłych dwóch Polaków, jednego Czecha i jednego Niemca, zamianowano trzech Czechów i jednego Niemca! Wszakże przy dobrej woli o braku odpowiednich kandydatów i mowy być nie może, a minister Prażak złożył już nieraz dowody, że w Czechach i na Morawie Polak trudniejsze sprawy przeprowadzać potrafi zgodnie z wymaganiami sprawiedliwości i ustaw zasadniczych. Czyżby tylko do nas stosować miał inną miarę, mimo tylokrotnych próśb, przedstawień i starań? Mianowania ostatnie zrobiły w kołach polskich, bez względu oczywiście na wszelkie możliwe zalety, jakieby nowomianowani urzędnicy w innych kierunkach posiadać mogli, bardzo przykre wrażenie, a choć może jeszcze niesłusznem jest przypuszczenie niektórych, którzy się w ciągle powtarzającem się mianowaniu kandydatów, nie władających językiem polskim, dopatrują pewnej metody, a nawet pewnego związku z tym ustępem rozporządzenia językowego, które językowi czeskiemu nadaje obywatelstwo w całem Księstwie Cieszyńskiem, ograniczając równocześnie język polski na niektóre tylko powiaty, bądź co bądź jednak w obec tego, co się dotąd dzieje, trudno się dziwić, że się podobne zapatrywania coraz więcej szerzą i coraz więcej znajdują wiary.— Chcielibyśmy się zresztą mylić, atoli zrażeni doświadczeniem, obawiamy się bardzo, czy mianowanie notarjusza na opróżnioną obecnie we Frysztacie posadę nie stwierdzi powyższych przypuszczeń.

Diło zamieściło treść „Otwartego pisma do p. Mazarakiego przez jednego z jego przyjaciół," w którem nieznany z nazwiska autor, przypomina nowemu posłowi z powiatu Dolińskiego, iż przy poprzednich wyborach wyraźnie mu powiedział te słowa: „Grzechem politycznym ze strony Polaków jest stawiać kandydaturę Polaka w tutejszym powiecie." Kandydatem ze stony ruskiej był wtedy ten sam dr. Ogonowski, przeciw któremu obecnie wystąpił p. Mazaraki. Autor „Otwartego pisma" przyznawszy p. Mazarakiemu, że Rusini szanowali go jako człowieka tolerantnego, zapytuje go, jak się dadzą pogodzić wyżej przytoczone jego słowa z obecnem jego stanowiskiem; w końcu stawia mu następujące kwestje: 1. Czy dobrowolnie zgodził się na postawienie swojej kandydatury. 2. Czy wiedział jakiemi ohydnemi sztuczkami ten wybór przeprowadzono i czy myśli zatrzymać mandat i 3. Czy woli mandat niż zaufanie u ludzi? Dalej konstatuje *Diło*, że z początku niezawiśli Polacy w Dolińskiem byli za kandydaturą Ogonowskiego, ale potem usunęli się apatycznie, widząc, że całą akcję wyborczą wzięło Starostwo w swoje ręce. Nakoniec pisze *Diło*, że p. Mazaraki chciał się zrzec mandatu, ale uległ prośbom przyjaciół," aby w Sejmie wzmocnić „żywioł konserwatywny."

Urzędowy *Dniewnik Warszawski* już gospodaruje w Galicji, pewny jej zajęcia przez Rosję z wiosną. Oto, co pisze w liście ze Lwowa o fałszywej wieści przejścia parafji unickiej na prawosławie: Wiadomość o przejściu na prawosławie kilku parafij unickich okazała się, dzięki Bogu, kłamliwą; nie czas bowiem obecnie awansować pewną ilość jednostek na męczenników; prawosławie przyjdzie samo przez się i trzy miljony ludności bez wszelkich wstrząśnień wrócą na łono kościoła pradziadowskiego i to, jak się zdaje w niedalekiej już przyszłości. Zanim wszakże podane zjednoczenie nastąpi, obiegają o niem najrozmaitsze, często niedorzeczne wieści. Powiadają np., że Rosja po przyłączeniu Galicji nie będzie robiła sobie ceremonji z unitami, natychmiast katedry biskupie rusińskie zastąpi rosyjskiemi, zaprowadzi gwałtem obrządki Kościoła prawosławnego itd." *Dniewnik* uspokaja obawy tego rodzaju — i twierdzi, że gdy Galicja zostanie zdobytą — połączenie dogmatyczne unitów z prawosławiem odbyć się może spokojnie, z zachowaniem różnic obrządkowych. „Nie możemy wiedzieć, jak się postawią hierarchowie nasi w on czas, gdy zapuka do drzwi kwestja połączenia. Czy podążą oni w ślady niezapomnianego Józefa Siemiaszki, czy też nie, jest to pytanie, na które w chwili obecnej nie można dać odpowiedzi stanowczej. To tylko pewna, że gdy staną oni na wysokości swojego kościelno-historycznego powołania, zniesienie unji na Rusi Czerwonej pociągnie za sobą zatarcie tych jej resztek w dyecezji chełmskiej; na całej Rusi będzie wówczas jedna wiara, jeden duch, jedno wspólne serce."

Fremdenblatt witając z zadowoleniem wniosek ks. Sapiehy (postawiony w Sejmie galicyjskim w sprawie nauki języka niemieckiego w galicyjskich szkołach średnich) pisze: Ten zwrot w dotychczasowych zapatrywaniach spowodowany został spostrzeżeniem, że podczas gdy narodowościowi trybunowie sławili każdy zamach na język niemiecki jako akt emancypacji z pod jarzma niewolniczego, w rzeczywistości niszczono przez to jedną z głównych podstaw materjalnego i moralnego dobrobytu. Pierwotny stan narodowościowy, do którego dążono, groził konsekwencjami ubóstwa. Poczucie narodowościowe i język nie są dostatecznym pokarmem dla młodzieży, która pozbawioną będąc jednego z największych środków międzynarodowego porozumienia się, pozostaje przywiązaną do kawałka ziemi, i musi się dobrowolnie wyrzec największej zdobyczy nowego czasu, tj. wolności przesiedlania się i wolnego wyboru zarobku. Obecnie ukazuje się odwrotna strona prowadzonej aż do ostatecznych granic narodowościowej walki o oswobodzenie, a ci słowiańscy politycy, którzy nie chcą poświęcić przyszłości dla frazesów dnia, podnoszą sami napominający głos i ostrzegają przed dalszem istnieniem owego prądu, który grozi zniesieniem równouprawnienia narodowości, ponieważ może łatwo usunąć równo-uzdolnienie narodowości. — *Fremdenblatt* nie wątpi, że te uwagi, któremi się obecnie Galicja kieruje, odniosą w końcu także i w Czechach zwycięstwo.

Sprawy sejmowe.

Komisja budżetowa przy sposobności załatwienia preliminarza na rok 1887 dla szkoły w Dublanach, na wniosek referenta p. Abrahamowicza, uchwaliła następującą rezolucję:

Sejm poleca Wydziałowi krajowemu, ażeby z uwagi na ciągły rozwój szkół Dublańskich, tudzież nader znaczny rozrost kosztów na ich utrzymanie, starał się wyjednać u c. k. Rządu podwyższenie stałej dotacji dla szkoły wyższej i szkoły parobków w Dublanach ze Skarbu państwa.

* * *

Wczoraj obradowała komisja szkolna. Nastąpił rozdział petycyj, a następnie przeprowadzono generalną dyskusję nad wnioskiem p. ks. Sapiehy w przedmiocie skuteczniejszej nauki języka niemieckiego w szkołach średnich. Referat tego przedmiotu poruczono p. Czerkawskiemu.

* * *

Na wczorajszem posiedzeniu komisji bankowej rozdzielono referaty. Sprawozdanie Wydziału krajowego o Banku krajowym otrzymał p. Kazimierz Badeni.

Korespondencje.

Kraków 16. grudnia.

(*Nowy dziennik polityczny. — Wystawa krajowa. — Nowy hotel. — Skargi na sądownictwo*).

Z dniem 1. stycznia ma wychodzić nowy dziennik polityczny codzienny pod tyt. *Kurjer Krakowski*, którego redaktorem naczelnym ma być p. Bartoszewicz, redaktor *Ananasa*. Właścicielem dziennika ma być według jednej wersji poseł Sobiesław hr. Mieroszowski, według innej Towarzystwo udziałowe.

W niedzielę dnia 19. t. m. zbiera się komitet wykonawczy wystawy krajowej celem ostatecznej decyzji co do miejsca urządzenia wystawy. Zdaje się, iż ostateczna decyzja wypadnie na korzyść Ogrodu strzeleckiego.

Pałac książąt Czartoryskich przerobiony został na hotel pierwszorzędny i będzie nosić nazwę *Grand Hotel*; będzie miał własne wodociągi i oświetlenie elektryczne frontonu gmachu. Wkład cały przez spólników dostarczony wynosić ma około 100.000 złr.

Jeszcze za prezydentury ś. p. Wacława br. Budwińskiego kreowanych zostało w skutek licznych przedstawień tegoż 14 posad płatnych auskultantów dla przeprowadzenia urządzenia ksiąg hipotecznych w całym kraju. Jak mnie zapewniano, owe 14 posad skazano obecnie na wymarcie, aby znów kosztem wymiaru sprawiedliwości zaprowadzić nową oszczędność, co taki wpływ wywrze, iż czekanie o chłodzie i głodzie na adjutum auskultanckie przedłuży się o półtora roku, t. j. obecnie z 4 lat na lat pięć i pół. Spodziewać się należy, iż powołany obecnie do Wiednia p. prezydent Zborowski potrafi choć tę drobniutką dla kraju wyjednać łaskę i zażegnać burzę mogącą wybuchnąć w rodzaj zniechęcenia i bezrobocia u młodych adeptów Temidy, na których barkach spoczywa cały ciężar wymiaru sprawiedliwości. Równocześnie z p. Zborowskim bawi w Wiedniu i poseł Madesyki który tyle złotych gór naobiecywał a dziś zkoligacony z ministrem Dunajewskim, stał się cichutkim jak trusia, i ani nie dotrzymuje przyrzeczenia co do złożenia mandatu, ani o zajęciu się sprawą sądownictwa nie myśli. Z tego powodu raz traci młodzież akademicka, iż najważniejsza katedra prawa cywilnego przez dwie trzecie części roku jest bez prelegenta, powtóre młodzież wstępująca do Sądu bywa w najwyższym stopniu exploatowaną, mimo szumnych frazesów wygłoszonych w Radzie państwa.

W sferach sądowych ciągle te same anomalje: miasto nie może się doprosić otwarcia drugiej Sekcji Sądu delegowanego cywilnego i karnego. Auskultanci są samoistnymi sędziami śledczymi i prowadzącymi samoistnie terniony Sądu delegowanego cywilnego lub pod aprobatą radcy terniony Sądu krajowego cywilnego. Rozprawy karne to nie wymiar sprawiedliwości lecz istny młyn, gdzie po 30 rozpraw apelacyjnych miele się w ciągu półtory godziny.

Praga 13. grudnia.

(*Les ésprits se rencontrent! — Skandal klubowy. — Urodziny Riegera. — Z Sejmu. — Jubileusz F. Kolara*).

(jk.) Głośna była w swoim czasie sprawa, którą wprowadziła głównie młodoczeska prasa

---

Wróżka

przez

EMILA ZOLĘ.

Przełożył S. W.

Czy słyszysz Ninon, jak listopadowy deszcz bije o szyby? Wiatr jęczy w długim korytarzu. Co za brzydki wieczór! jeden z tych, w których biedak drży z zimna pod progiem bogacza tańczącego wesoło w ciepłych i jasnych salonach. Zrzuć twoje atłasowe trzewiczki, usiądź mi na kolanach, a ja przy ogniu wesoło błyszczącym na kominku opowiem ci bajeczkę, bardzo ładną bajeczkę. Wiesz zapewne, że niegdyś na jednej wysokiej, górze stał stary, ponury zamek. Widać było tylko baszty i wały, tylko mosty zwodzone obciążone łańcuchami; ludzie w stal zakuci stróżowali dzień i noc na blankach, a u hrabiego Enguerrarda, pana zamku, tylko rycerze znajdowali gościnne przyjęcie. Gdybyś go mogła zobaczyć tego starego wojaka, jak kroczył po długich korytarzach; gdybyś mogła usłyszeć jego krótki, groźny głos, zatrzęsłabyś się ze strachu tak samo, jak jego siostrzenica Odetta, pobożna, piękna panienka. To młode dziewczę zakwitło, jak pączek róży, pomiędzy szorstkimi wojakami. Dzieckiem będąc, gdy zobaczyła wuja, przestawała się bawić, a jej oczka napełniały się łzami. Teraz była dorosłą i piękną; w jej łonie budziła się niejasna tęsknota i strach jeszcze większy ogarniał ją za zbliżeniem się hrabiego Enguerrarda. Odetta zamieszkiwała odosobnioną wieżę, zajmowała się haftowaniem pięknych sztandarow, a podczas odpoczynku po tej robocie wyglądała oknem i spoglądała na zielone łąki i lazurowe niebo. Często w nocy opuszczała łoże, patrzyła w gwiazdy i często jej szesnalotnie serce zapytywało błyszczące siostry, zkąd się w niem bierze taki niepokój, taka dziwna tęsknota. Po takich bezsennych nocach, po takich wybuchach uczucia zbierała ją chęć rzucić się staremu wujowi na szyję; lecz szorstkie słowo, zimne spojrzenie wstrzymywało ją na miejscu i drżąc chwytała znowu za igłę.

Ty żałujesz to biedne dziewczę, Ninon; była podobną do świeżego wonnego kwiatu, którego woń i piękność zapoznają. Raz przypatrywała się biedna Odetta parze turkawek, w tem u stóp zamku usłyszała łagodny głos. Wychyliła z okna i ujrzała młodego, pięknego mężczyznę, który z pieśnią na ustach prosił o gościnę. Słyszała słowa i ich nie rozumiała; ale słodki głos ścisnął jej serce, łzy spłynęły powoli po twarzyczce i spadły na gałązkę, którą trzymała w ręku. Brama się na przyjęcie gościa nie otwarła. Pachołek zakrzyczał z muru: „Idźcie! tu mają przystęp tylko rycerze!" Odetta patrzyła jeszcze ciągle. Upuściła zroszoną łzami gałązkę, a ta upadła u nóg spiewaka. Spiewak podniósł oczy, ujrzał złotą główkę, podniósł gałązkę, pocałował ją i odszedł oglądając się co krok. Po jego zniknięciu, uklękła Odetta w klęczniku i długo długo się modliła. Dziękowała niebu nie wiedząc sama za co; czuła się szczęśliwą, choć nie mogła sobie zdać sprawy, czemu się raduje. A w nocy, w nocy miała cudny sen. Oto zdawało jej się, że widzi gałązkę, którą rzuciła. Powoli z pomiędzy liści wysunęła się wróżka, ale taka śliczna wróżka z płomienistemi skrzydłami, koroną z niezapominajków na głowie, w długiej szacie zielonej, w kolorze nadziei. I melodyjnym głosem tak mówiła: „Odetto jestem Amorosa, wróżka miłości. Ja to zesłałam ci dzisiaj rano Lois'a, tego młodzieńca ze słodkim głosem; ja to widząc cię płaczącą, chcę osuszyć łzy twoje. Zbierając serca jak kłosy, przebiegam ziemię i prowadzę kochanków sobie w objęcia. Odwidzam zarówno chatę jak i pałace. Wyścielam kwiatami drogę moich poddanych i łączę ich tak drogiemi świetlanemi nićmi, że ich serca drżą z roskoszy. Zamieszkuje trawy przydrożne, płonące głownie na kominku, kotary łóż małżeńskich; a wszędzie gdzie stąpię, odzywają się pocałunki i słodkie słowa. Nie płacz Odetto, ja jestem wróżka miłości, dobrą wróżką, i przychodzę osuszyć twe łezki! I powróciła znowu do swego mieszkania w gałązce. Ty, Ninon, wiesz przecież, że wróżka miłości istnieje. Patrz jak tańczy pośród płomieni naszego kominka i lituje się nad biednymi ludźmi, którzy w nią nie wierzą. Gdy Odetta zbudziła się, oświecał promień słońca wesoło jej pokoik, śpiew ptasząt dolatywał z za okna, a poranny wietrzyk cały wonny, pocałunkami kwiatów rozwiewał jej złote włoski. Wesoło wstała z łóżka; śpiewając przepędziła dzień, pośród nadziei wzbudzonych przez dobrą wróżkę. Z nadejściem wieczoru zeszła do wielkiej sali zamku. Koło hrabiego Enguerrarda siedział jakiś rycerz przysłuchujący się jego opowiadaniu. Z przędzą usiadła przy kominku, i kołowrotek zawarczał żywo w jej paluszkach. Wśród pilnej roboty rzuciła okiem na rycerza i zobaczyła swoją gałązkę w jego ręce; i wtedy poznała Lois'a po jego dźwięcznym głosie. Mało nie krzyknęła z radości. Aby ukryć rumieniec, pochyliła się nad ogniem i poczęła grzebać w nim długiem żelazem. Ogień zabłysnął jaśniej, płomienie rozdzieliły się, i w ogóle z pośród iskier ukazała się Amorosa, wróżka miłości. Otrzęsła iskierki ze swej szaty, nakształt złotego pyłu opadły, weszła do sali niewidzialna dla starego hrabiego i usadowiła się za młodą parą. A podczas gdy stary wojak opowiadał o jakimś boju z niewiernymi, rzekła Amorosa: — Kochajcie się moje dzieci! wspomnienia pozostawcie starcom! Pozostawcie im długie opowieści przy ciepłym kominku. Później przyjdzie czas łagodzenia i waszych trosk wspomnieniem słodkich chwil. Słowa są zbędne, gdy się ma lat szesnaście; jedno jedyne spojrzenie wypowie więcej, jak długa rozmowa. Kochajcie się dzieci, gadaninę zostawcie starości! — I zakryła ich swojemi skrzydłami tak dobrze, że stary hrabia, który opowiadał jak olbrzym z żelazną głową, jednem cięciem strasznego miecza Giralda został wpół przecięty, nie widział, że Lois złożył pierwszy pocałunek na czole drżącej Odetty. O Ninon! muszę ci powiedzieć kilka słów o przepysznych skrzydełkach mojej pięknej wróżki. Były one prezroczyste jak szkło, a małe jak skrzydełka muchy. Ale gdy para miłosna znajdowała się w niebezpieczeństwie odkrycia, wtedy rosły one, rosły, stawały się tak gęste, tak ciemne, że powstrzymywały spojrzenia i przygłuszały pocałunki. Tak opowiadał starzec długo, długo swoje straszne przygody, a Lois pieścił długo, długo piękną Odettę pod jego bokiem. Ach Boże, Boże! te piękne skrzydła! gdzie one są! Opowiadano mi, że młode dziewczęta, znajdują je jeszcze tu i owdzie, bo nie jedna potrafi się przecież ukryć przed okiem babuni. Czy to prawda, Ninon? Amorosa znikła, gdy hrabia skończył swoją opowieść, Lois pożegnał się, dziękując swemu gospodarzowi, a Odecie posyłając ostatniego całusa. Dziewczę spało tej nocy tak szczęśliwe, że śniło o górach z kwiatów, oświetlonych gwiazdami, lśniącemi jaśniej jak słońce. Następnego poranku zeszła Odetta do ogrodu i zapuściła się w ciemne aleje. Spotkała jakiegoś rycerza, skłoniła się mu i już chciała odejść, gdy wtem w jego ręku ujrzała swą gałązkę. I wtedy poznała Loisa, który w nowem przebraniu wszedł do zamku. Chwycił ją w objęcia i pociągnął ku ławeczce darniowej nad źródłem. Patrzyli się oboje w siebie jak w tęczę, uszczęśliwieni, iż mogą się widzieć w biały dzień. Słowiki śpiewały, a w powietrzu czuć było, że wróżka miłości krąży.

Nie chcę ci powtarzać wszystkich tych słów, które stuletnie dęby słyszały; prawdziwie, przyjemność sprawiał widok tej pięknej pary pogrążonej w miłosnej pogadance tak długo, tak długo że sikora nad ich głowami miała czas sklecić sobie gniazdko. Nagle w alei dały się słyszeć ciężkie kroki hrabiego Enguerrarda. Kochankowie struchleli z przerażenia. Wtem źródło zaszemrało mocniej jak zwykle i Amorosa śmiejąc się, spiesznie wynurzyła się z wody. Okryła oboje swojemi skrzydłami i zręcznie przecisnęła się obok starego hrabiego, który nie mało był zdziwiony, że w miejscu gdzie słyszał głosy, nikogo nie było. Amorosa uspokoiła kochanków i zniknęła szepnąwszy im: „Ja jestem opiekunką miłości, zamykam oczy i uszy ludziom, którzy już nie kochają. Nie bójcie się niczego, piękni kochankowie, kochajcie się w biały dzień, w aleach, nad źróddłami, wszędzie gdzie będziecie przebywać, ja czuwam nad wami. Bóg mnie stworzył, aby ludzie, ci szydercy z wszystkiego co święte, nigdy nie zatruli waszych świętych uczuć. Kochajcie się, ja tu jestem i strzegę was". Zniknęła, wdychając zapach róż, który był jej jedynym pokarmem, i pociągnęła za soba Lois'a i Odettę. Zapytasz mię co wróżka zrobiła z kochankami? Prawdę powiedziawszy, boję się ci to opowiedzieć. Boję się, że albo mi nie uwierzysz, albo, zazdrosna o ich szczęście, nię zechcesz mię więcej pocałować. Ah! Ah! ty nic dobrego! umierasz z ciekawości, ha — cóż robić, muszę ci być posłusznym.

Więc dowiedz się, że wróżka tak się snuła aż do nocy. Gdy zaś kochanków chciała rozłączyć, ujrzała, że oboje tak byli tem zmartwieni, iż zaczęła z nimi coś szeptać.

Jak się zdaje, musiała im coś bardzo pięknego powiedzieć, bo twarze im się rozjaśniły, a oczy zaiskrzyły się z radości. Gdy skończyła mówić a oni się zgodzili, dotknęła się ich czoła swem berłem. Nagle.... Oh, Ninon, czemu robisz takie duże oczka? Oh! jakbyś ty się ślicznie gniewała, gdybym tak nie chciał dokończyć! Więc nagle, Lois i Odetta, przekształcili się w dwa drzewka, ale tak piękne, tak piękne, jak tylko wróżka to może uczynić. Były tak blisko siebie, że listki jednego mięszały się między liście drugiego. A cudowne kwiaty kołysały się na gałązkach, na wpół rozkwitłe, wymieniając między sobą na wieki rosę i zapach. Co się tyczy groźnego hrabi Enguerrarda, to ten pocieszył się prędko, jak opowiadają, codziennem opowiadaniem o strasznym olbrzymie z żelazną głową i o mieczu Giralda, którym on został zabity.

---

na stół, sprawa wystąpienia właścicieli większych posiadłości z Klubu czeskiego. *Nar. Listy* podając czytelnikom wiadomość o pogłosce, jakoby czeska szlachta miała zamiar z Klubu wystąpić, karczemnym tonem wygłosiły, że to Czechom nie tylko nie zaszkodzi, ale owszem pomoże, że każdy Czech taki jak one pragnie nawet, aby szlachta nie należała do Klubu, któremu przeszkadza oponować.

Jacy to Czesi redagują *Nar. Listy*, tego dowodzi fakt następujący. Znany czechofob, agitator czarno-czerwono-żółty Knoll zdawał w tych dniach sprawę z swych czynności poselskich w Karlsbadzie. Między innemi wspomniał on i o tem, jakoby hr. Henryk Clam miał zamiar założyć stronnictwo pośrednie, Knoll tedy tak się o tem wyraził (według *D. Ztg.*): „Wiadomość ta pozwala mieć nadzieję, że się Klub czeski rozpadnie, co dla interesów narodu niemieckiego byłoby niezmiernie użyteczne."

Dr. Knoll okazał się tedy „gorącym" czeskim patrjotą a la dr. Juljusz Gregr.

W obozie tego czcigodnego mecenasa nie brak innych jeszcze skandalicznych wypadków. Jeden z filarów tego stronnictwa także adwokat, Dr. Podlipny, postanowił za wszelką cenę dostać się do Rady miejskiej. Zachodziła tylko ta przeszkoda, że wyborcy o nim ani słyszeć nie chcieli. Podlipny uzbroił się w cierpliwość. Trzykrotne kandydowanie nadaremne pouczyło go o niedostateczności tego środka.

Dr. Podlipny zrażony ciemnotą wyborców swojej dzielnicy wbrew wszelkim regułom klubów wyborczych, które tu przedewszystkiem nakazują, aby w każdej dzielnicy kandydowali tylko wyborcy z tejże dzielnicy, a w oddziale III. tylko przedstawiciele rękodzielnictwa i przemysłu — ze starego miasta praskiego przeszedł jako kandydat do Józefowa, dzielnicy żydowskiej, gdzie ogłosił, że jest „kandydatem chrześcijańskim" III ciała wyborczego, wspólnie ze szklarzem Ornsteinem i niejakim Weinerem. Mimo wystąpienia przeciw drowi Podlipnemu niejakiego Krausa, który oznajmił, iż szan. adwokat obiecywał dawniej, że będzie antysemitą, Dr. Podlipny przeszedł jako kandydat z miasta żydowskiego, a jest prawdopodobne, że tym razem przejdzie przy ostatecznem głosowaniu i że zgwałciwszy skandalicznie regulamin klubowy, w radzie miasta zasiędzie jeden z „serdecznych" dra J. Gregra.

Ledwie przebrzmiało huczne Hoch! w niemieckiem kasynie na cześć przywódcy Niemców Szmeykala z powodu, że skończył 60 lat życia, w kołach czeskich, mianowicie wyższych, podniosło się pełne zapału *Slava*! z powodu 68. urodzin czcigodnego kierownika czeskiej polityki Riegera. Urodzin szanownego posła nie obchodzono jednak tak hucznie. Prywatnie otrzymał on ze wszech stron mnóstwo oznak czci i miłości, z jaką naród w tem święcie brał udział. Uczuciom tym publicznie dał tylko wyraz dr. Wlczek, który przemawiał do Riegera na uroczystem zgromadzeniu „Jednoty obczanu prażskich", gdzie obecnym był wraz z innymi posłami dr. Mattusz, wielu profesorów Uniwersytetu i kwiat praskiej inteligencji. Dr. Wlczek zapewnił Riegera, że „jak on z rzadką bezinteresownością jak prawdziwy ojciec życie całe oddał narodowi, tak cały naród otacza jak jedna wielka rodzina przewodnika swego niezłomną czcią i wielką miłością".

Posiedzenia Sejmu dotąd nie przyniosły nic osobliwie interesującego. Pierwsze z nich obejmowało jak zwykle czynności przygotowawcze, rozdanie projektów i wniosków odpowiednim komisjom i t. d. Otwarcie Sejmu odbyło się w sposób zupełnie powszedni. Marszałek zapowiedział, że z obszernego materjału pracy Izba prawdopodobnie zdoła wyczerpać w tym roku tylko pewną część.

Z ważniejszych spraw poruszonych dotychczas zasługuje na wzmiankę kwestja polepszenia stosunków nauczycielskich. Wyczerpujący plan uregulowania tej sprawy wygotował zasłużony redaktor *Hlasu Narodnego* przyjaciel Polaków p. Korzan.

Przyjęty w pierwszem czytaniu rządowy projekt ustawy dotyczącej budowy teatrów orzeka, że w przyszłości teatry tak mają być budowane, aby ze wszech stron otaczała je wolna przestrzeń przynajmniej na 15 m. szeroka. Z jednej strony, t. j. ze strony sceny mogą tylko takie teatry przylegać do innych budowli, które pomieścić mogą najwyżej 600 osób. Projekt ten oparty na smutnych doświadczeniach lat ostatnich i zabezpieczający przeciw zgiełkowi w razie pożaru oraz szerzeniu się ognia na inne gmachy, w razie przyjęcia powierzonym będzie do wykonania komisji miejscowej i krajowej.

W teatrze czeskim odbyła się onegdaj piękna uroczystość. Franciszek Kolar, wzorowy artysta i zasłużony reżyser sceny czeskiej obchodził 35 letni jubileusz swej scenicznej pracy. Stowarzyszenia miejscowe, prawie wszystkie większe miasta prowincjonalne, przedewszystkiem zaś konsorcjum teatru, dyrekcja i koledzy nie szczędzili oznak sympatji dla swego artystycznego kierownika, który otrzymał stosy depesz, adresów i podarków, między nimi wiele kosztownych. Kolar grał tego wieczoru Ludwika XI. i grał wybornie.

Reforma studjów prawniczych.

Wydział prawa i administracji na Uniwersytecie wiedeńskim ukończył w bieżącym tygodniu obrady nad zainicjonowaną przez Ministerstwo oświaty reformą studjów prawniczych. Wydział prawa oświadcza się za zniesieniem obowiązkowych wykładów praktycznej filozofji i historji. Doświadczenie bowiem nauczyło, że słuchacze zapisani są wprawdzie na te przedmioty, wykładane na pierwszym roku, ale ich nie słuchają. Naturalnie, że słuchaczom pozostawia się wolność uczęszczania na te wykłady. Uzyskany czas ma być poświęcony dwom nowym ważnym obowiązkowym przedmiotom.

Na pierwszym roku ma bowiem być zaprowadzony wykład encyklopedji prawa, który młodym prawnikom ma dać możność zrozumienia i poznania zasadniczych pojęć prawa i stosunków prawnych, oraz wykład filozofji prawa celem przygotowania głębszego i ściślejszego zrozumienia filozoficznych zapatrywań prawnych.

Wykład ekonomji społecznej ma być przeniesiony z trzeciego roku na rok drugi. Nadto uchwalono wykreślić statystykę z szeregu przedmiotów obowiązkowych, polecając zarazem słuchaczom uczęszczać dobrowolnie na ten przedmiot. Aby zadość uczynić życzeniom sfer, które gruntowniejsze wykształcenie urzędników administracji uważają za nieodzowne, wnosi Wydział zaprowadzenie dwóch nowych przedmiotów obowiązkowych, a mianowicie ogólne i austrjackie prawo państwowe i konstytucyjne, tudzież wykład nauki administracji. Odnośnie do reformy wykładów ma także być zmieniona ordynacja egzaminacyjna.

Egzamin rządowy pierwszy i drugi, t. j. prawno-historyczny i sądowy pozostają niezmienione, wprowadzone bowiem przedmioty na pierwszym roku nie są przedmiotami egzaminu. Natomiast ma trzeci egzamin t. z. polityczny uledz stanowczej zmianie, wprowadzone bowiem przedmioty podlegają egzaminowi.

Jako przeszkodę wszelkiej reformy uważa Wydział jednoroczną służbę wojskową, która zmusza słuchaczy do zaniedbywania przez cały rok wykładów. Zaradzić temu możnaby przez odłożenie roku służby na czas po studjach. W końcu wnosi Wydział równouprawnienie egzaminu ścisłego (rygorozum) z egzaminem rządowym, t. z. że każdy prawnik, który zdał rygorozum byłby przy egzaminie uwolniony od odnośnych przedmiotów. Prawie wszystkie uchwały zapadły jednogłośnie.

Epilog sprawy kienstajckiej.

Z Kowna piszą do *Czasu* 8. grudnia: Epilog sprawy kienstajckiej jest taki, że gubernator kowieński Mielnickoj, w towarzystwie Szczyrowskiego pojechał na miejsce (do Kienstajc) i na czele kilkuset kozaków gwałtem i za pomocą nahajek rozpędzał lud zebrany wokoło kościoła. Następnie sprowadzony ksiądz wyniósł Najśw. Sakrament, który pod ekskortą 30 kozaków odwieziono do Telsz, a potem na rozkaz p. gubernatora kozactwo rzuciło się do rąbania i burzenia kościółka, który w ten barbarzyński sposób zniszczono, chociaż na to nie było ukazu i carskiej a w rzeczywistości Kahanowa i diejateli woli stało się zadość… Gub. Mielnickoj pojechał do Petersburga, ażeby otrzymać krest za swą gorliwość i jak z zasług, pochlubić się zburzeniem kościoła. Mówią, że aresztowano księdza, który musi być winien i ucierpieć w tej sprawie, boć nie wypada — ażeby lud sam przez się okazał tyle oporu w obronie kościoła. Muszą Rosjanie głosić — że tu winni księża i inteligencja, bez której lud łatwiej można byłoby przerobić!

Paryski „Figaro."

Paryski *Figaro*, ów pierwowzór międzynarodowej spekulacji dziennikarskiej, bez charakteru, sumienia, uczciwości, a nadewszystko bez źdźbła poważnego patrjotyzmu francuskiego, ów *Figaro*, którego całe kierownictwo wysila się wyłącznie tylko na zręczność umiejętnego tańcowania po linie skandalu i nie przebierającej w wyborze przedmiotu akrobatyki, zabrał istnie „po swojemu" głos w załatwianej nader połowicznie dotąd sprawie przesilenia ministerjalnego francuskiego, o czem krótką daliśmy wczoraj wzmiankę.

Jak wiadomo, pojawiała się przez niejaki czas w celu załatwienia tej kwestji kombinacja gabinetu pod przewodnictwem prezesa Izby, p. Floquet. Od czasu, kiedy młody adwokat rzucił wstępującemu do gmachu sprawiedliwości w Paryżu carowi Aleksandrowi II. pamiętne słowa: „*Vive la Pologne*!" minęło już prawie 20 lat. Przeszło odtąd wiele rozmaitych wypadków, zdolnych zatrzeć pamięć tego wykrzyknika. Mogła go zapomnieć bardzo dobrze Rosja sama, pomna prawdy, że nie ma tak głębokiej przepaści, którejby nie była zdolną wypełnić konieczność polityczna…

Wspomniany artykuł paryskiego akrobaty publicystycznego opiewa, jak następuje:

„Tymczasem został powołany do pałacu Elizejskiego pan Karol Floquet. Dawny jednak jego okrzyk: „Niech żyje Polska!" jest jeszcze we wszystkich uszach. Młody adwokat republikański wypłynął na powierzchnię dzięki temu okrzykowi. Wzniósł się zeń do wysokich szczytów; *quo non ascendam*? A teraz to ten okrzyk mówi mu: Nie pójdziesz dalej. Rosja jest nieuniknioną przeciwwagą; należą jej się względy."

Dotąd wszystkoby jeszcze było dobrze ze stanowiska czy to dzisiejszych istotnych potrzeb, czy też choćby tylko ze stanowiska uwidzeń francuskich. Posłuchajmy jednakże dalej popisu pana Schola: „Jakąkolwiek będzie decyzja w pałacu Elizejskim, nie przestanie przecież być rzeczą dla tego mniej ciekawą obeznać się ze składem gabinetu Floqueta. Nabyłem ją bardzo drogo u pewnego ogrodnika przy Avenue Gabiel.

Zawsze logiczny, zawsze trzymający się prostej drogi prezes Izby przedstawił panu Grévy listę następną:

„Sprawy wewnętrzne: Boleslas Chapzki. Sprawiedliwość: Mickiewitz. Oświata publiczna: Casimir Bronski. Handel: Miecislas Konski. Rolnictwo: Przemislas Wisniowiecki. Marynarka i kolonje: Sigismond Batoriski. Wojna: Ladislas Pusłowski. Prace publiczne: Joseph Mirski. Poczty i telegrafy: Wenceslas Factoryski. „Sprawy zagraniczne: Prezes gabinetu Karlus Flokeski.

„Przed daniem stanowczej odpowiedzi zastrzegł sobie pan Grévy porozumienie z ambasadorem rosyjskim. Jeżeli jego odpowiedź będzie przychylną, jest gabinet utworzony a przesilenie zażegnane. Cukiernicy są w obawie."

Koncept płaski, a w dodatku przy swej płaskości ubliżający grubo własnemu narodowi, bo czyniący wprost już tylko zależnym skład gabinetu francuskiego od dobrych czy złych humorów Rosji.

Nie przeceniamy jednakże ani wagi, ani wartości konceptu i koziełków pisma, które po prostu jest niczem innem jak międzynarodową spekulacją publicystyczną, rekrutującą swe siły z kondotjerów pióra, którzy za pieniądze wszystkim sprawom począwszy od Boga, skończywszy na Belzebubie służyć gotowi.

Cóż powiedzieć o piśmie, którego jeden z współpracowników miał, jak sobie może przypomni następną rozmowę.

Poprzedzić tu objaśniająco należy, że w roku 1867 zdetronizowany król hanowerski wydawał w swoim interesie dziennik francuski pod napisem *La Situation*. Przy przypadkowem spotkaniu przedstawiono pana X., dzisiejszego współpracownika *Figara*, jako jednego z redaktorów *Situation*.

— A, jak słyszę, jesteś pan współpracownikiem organu *Situation*.

— Tak jest, nawet jednym z głównych.

— Ile też król hanowerski poświęcił na ten organ?

— Półtora miljona franków.

— A, winszuję panu, to suma bardzo przyzwoita.

— Cóż pan chcesz? Tagi organ jest rzeczą bardzo kosztowną, tak n. p. zapłaciliśmy 30 tysięcy franków p. Aleksandrowi Dumas za jego fejleton, zamieszczony w *Situation* pod tytułem „*La terreur prusienne a Francfort*."

Po zamianie tych słów można było naturalnie tylko być przejętym czcią dla bezinteresowności i kryształowego apostolstwa podobnych reprezentantów publicystyki, ukłonić im się grzecznie i powiedzieć *au revoir* bez szczególnej chęci realizacji słów konwencjonalnego pożegnania. Do dziś dnia są tego rodzaju osobistości współpracownikami *Figara*, równe zapewne bezinteresownością i siłą przekonań, jak były swego czasu współpracownikami hanowerskiej *Situation*.

Wypadki na Wschodzie.

Ociąganie się deputacji bułgarskiej z wyjazdem swym do Berlina, które komentowanem było w inny sposób, spowodowane zostało widocznie tylko chęcią poinformowania się co do kandydatury księcia Koburgskiego. Jak bowiem donoszą do *Pester Lloydu* „z wiarogodnego źródła wiedeńskiego" poinformowanie się co do możliwych szans kandydatury wchodziło w zakres instrukcyj, jakie deputacja odebrała z Sofji. Poinformowanie to miało nastąpić w dwóch punktach t. j., czy książę Ferdynand przyjąłby kandydaturę, jeśliby go Sobranje wybrało i jak się mocarstwa na kandydaturę tę zapatrywać będą.

* * *

Neue fr. Presse pisze: „Jak nam donoszą, książę Ferdynand Koburgski miał pierwotnie odmówić przyjęcia godności księcia bułgarskiego i na zapytanie wysoko położonej osoby oswiadczyć, że nie czuje się być godnym następcą takiego męża, jak ks. Aleksander. Przypuszczają, że na następne postanowienie przyjęcia wpłynęła zachęta nadeszła z Berlina".

* * *

N. Fr. Presse dowiaduje się, że przyjęcie deputacji bułgarskiej przez ks. Ferdynanda Koburgskiego urządzono bardzo tajemniczo. Przyjęcie to odbyło się w zamku Ebenthal w pobliżu Dürnkrutu, dokąd członkowie deputacji wczoraj rano się udali. O przyjęciu kandydatury przez ks. Koburgskiego został Łobanow jeszcze wczoraj zawiadomiony i natychmiast przesłał o tem relację do Petersburga.

* * *

Z Wiednia donoszą: Zamiar Bułgarów postawienia kandydatury ks. Ferdynanda Koburgskiego był już tutejszym sferom rosyjskim od pewnego czasu znany, ale kandydatury tej nie brano na serjo. Obecnie, kiedy kandydatura ta stała się już faktem, wyrażają w tutejszych sferach rosyjskich przekonanie, że nie ma widoków, aby Rosja kandydaturę tę przyjęła. Ze strony innych mocarstw nie spodziewają się opozycji w tej sprawie. Niesłusznie uważają kandydaturę ks. Koburgskiego za austrjacką. Gabinet tutejszy zachowuje się neutralnie w obec tej kandydatury, która wyszła jedynie od Bułgarów.

* * *

Ze Stambułu donoszą do *Pol. Cor.* że przybył tam w specjalnej misji adjutant ks. czarnogórskiego Mikołaja. Cel jego przybycia nie da się jeszcze dokładnie oznaczyć. Sułtan oddał mu do dyspozycji kilka apartamentów. Niewiadomo jeszcze czy oprócz wielkiego wezyra także sułtan przyjmie adjutanta.

* * *

Prasa petersburska omawia sytuację w ten sposób, że Niemcy przechylają się znowu na stronę Rosji, zachowując się ozięble w obec Austrji.

* * *

Times przypuszcza, że car został ułagodzony koncesjami ze strony Austrji i Niemiec, które droższe są dla Rosji aniżeli Bułgarja. Anglja musi się więc mieć na baczności.

* * *

N. W. T. donosi z Sofji: Dr. Drumow naczelnik agitacyjnego stronnictwa Cankowa, który zorganizował w Bukareszcie zamach przeciw Rządowi bułgarskiemu i chciał d. 11. bm. przeprawić się potajemnie w towarzystwie pięciu byłych oficerów do Sofji, został przychwycony w Sistowie i na rozkaz Rządu bułgarskiego odstawiony do Zimnicy na ziemi rumuńskiej. Oficerowie schronili się do Rumunji.

KRONIKA.

Lwów dnia 17. grudnia.

Śp. ks. W. Kalinka, gdy zachorował, objawił życzenie, aby go oddano do szpitala, na wypadek śmierci, aby go grzebało Towarzystwo św. Józefa z Arymatei. Pierwszemu życzeniu OO. Zmartwychwstańcy nie uczynili zadość, chcąc chorego otoczyć jak najtroskliwszą opieką. I rzeczywiście opieka ta była taką, że lepszej nigdzie być nie mogło, a lekarze ordynujący drowie Szuszkiewicz i Opolski, tudzież inni wzywani na konsylja, dokładali wszelkich starań, aby uratować znakomitego historyka. Niestety, zapalenie mózgu było tak silne, że umiejętność ludzka nie mogła odwrócić katastrofy. OO. Zmartwychwstańcy postanowili uczynić zadość życzeniu zmarłego; zwłoki ks. Kalinki pochowane zostaną przez Towarzystwo św. Józefa z Arymatei.

Ksiądz Kalinka kilkakrotnie przed śmiercią objawił życzenie, aby mu nie składano żadnych wieńców na trumnie, ale ewentualnie pieniądze złożono na cele pożyteczne.

Nekrologja. Amelja Kellermann, właścicielka dóbr ziemskich, zmarła onegdaj we Lwowie w 87 roku życia.

Kalendarz. Sobota (18go): Gracjana — Wszemira. Wschód słońca o godz. 7. min. 53, zachód o godz. 4.

Kalend. myśliwski. W grudniu wolno polować: na zające, kozły i jelenie, słonki, dropie i pardwy, lisy, jarząbki, cietrzewie i głuszce, ptactwo wodne i błotne w ogólności.

+ 10° R. wskazywał termometr dziś w południe. Wczesnym rankiem wskazywał + 8° R.

Następcą bar. Schenka będzie najprawdopodobniej p. Zborowski, prezydent krakowskiego Sądu wyższego. Jak nam bowiem z Wiednia donoszą, Rząd zaproponował już p. Zborowskiemu objęcie prezydentury lwowsk. Sądu wyższego, i tenże miał oświadczyć gotowość do tej zamiany.

Dar marszałkowki. Wśród wykwintnych i zbytkowych ekwipażów, jakiemi słynie Lwów, odznaczała się dziarskością para rumaków w uprzęży krakowskiej b. marszałka Zyblikiewicza. Miał też i w Krakowie swoją popularność krakowski zaprzęg dawnego prezydenta, upamiętniony na obrazie J. Kossaka z przedstawieniem wjazdu cesarza w bramy miasta. Woźnica krakowski został woźnym Wydziału krajowego i pełni te obowiązki wzorowo, natomiast pojazd i parę rumaków ustępujący marszałek, jak *Czasowi* donoszą ze Lwowa, darował na pożegnanie służącemu, który przez sześć lat zarządzał domem marszałka.

Akt uroczysty immatrykulacji w Uniwersytecie tutejszym odbył się dziś w piątek przedpołudniem, w auli uniwersyteckiej. Na Wydział teologiczny wstąpiło nowych słuchaczy 119, na Wydział prawniczy 220, na Wydział filozoficzny 31. Razem 370, więc w większej liczbie, niż to dotychczas bywało. Uroczystość zagaił J. M. rektor prof. dr. Tadeusz Piłat.

Słuszną uwagę robi *Kurjer Warszawski* w korespondencji ze Lwowa. Donosząc o sprawie wystawienia pomnika dla śp. Jana Lama, kończy temi słowy: „Nadmienić wypada, że Koło literackie lwowskie, które się miało zająć zabezpieczeniem losu pozostałej rodziny zmarłego humorysty, prawie nic nie zrobiło i sprawa została w zawieszeniu."

Wieczorek Batorego, urządzony wczoraj staraniem Tow. „Czytelni akad. we Lwowi." zgromadził w lokalu rzeczonego Towarzystwa znaczną liczbę członków, między którymi z przyjemnością zauważyliśmy wielu akademików ruskich. Obchód zagaił prezes Czytelni akad. p. Juliusz Reiner, który w słowach jędrnych a gorących zaznaczył stanowisko króla-bohatera w narodzie, wykazał jego zasługi jako stratega-organizatora i statysty, poczem przechodząc do obchodu krakowskiego zakończył przemowę jak następuje: „Uroczystość krakowska — to jeden akord wzniosłego hymnu braterstwa i jedności — to jeden potężny okrzyk — okrzyk serc przepełnionych dumą ze starych laurów, nadzieją nowych wawrzynów". „A jeśli w tej wielkiej harmonji — harmonji serca i myśli, zabrzmiał na chwilę ton ostry — wstrętny — fałszywy — to winić tu jednostki izolowane, od których ogół się odwrócił, winić tu ludzi, którzy nie sprostali swemu zadaniu, zdeptali wielkie hasła narodowe". „Widzieliśmy ludów zbratanie — przyszłość wykaże jego owoce…."

Na zaszczytną wzmiankę zasługuje odczyt p. Wiktora Czermaka — praca źródłowa, sumienna, w szczegóły obfita, za którą zebrana publiczność obdarzyła prelegenta burzą oklasków….

Równie pięknie wypadły deklamacje pp. A. Świątkiewicza i L. Stahla, którym słuchacze nie szczędzili serdecznego uznania. W części instrumentalno wokalnej odznaczył się p. Guszalewicz („Straszny dwór" — recitativo, pieśń Stefana). Na podniesienie zasługuje równie gra na fortepianie pp. Kulczyckiego, Adama i Sozańskiego (Suendsen „Polonez" Scharwenka „Guite des danses".

Obchód zakończono o godzinie 9 m. 45.

Zjazd djaków z powiatów sokalskiego, złoczowskiego, żółkiewskiego i rawskiego, odbył się w klasztorze Bazyljanów Krystynopolskich. Uchwalili oni petycję do Sejmu o uregulowanie spraw djakowskich.

Mianowania. P. namiestnik zamianował praktykanta konceptowego przy c. k. Dyrekcji policji we Lwowie, Zygmunta Michała Nowotnego, koncepistą policji przy c. k. Dyrekcji policji w Krakowie.

C. k. krajowa Dyrekcja skarbu zamianowała praktykanta konceptowego, Walerego Olszewskiego, koncepistą skarbowym w X klasie rangi.

Doktorat. P. Stanisław Steiner, rodem z Leksandrowy, w Galicji, otrzymał na Uniwersytecie Jagiellońskim stopień doktora wszech nauk lekarskich.

Hotel angielski we Lwowie, będący własnością gminy, i puszczany dotąd w dzierżawę prawdopodobnie nie będzie nadal wydzierżawiany. Według *Kurjera Lwowsk.* trafia się bowiem miastu kupiec, oferujący cenę taką, że dochód z niej zrównoważy dochody z czynszem, a nadto wskutek przebudowania całego gmachu, miasto zyska nową ozdobę.

Pożar na obszarze dworskim w Żmigrodzie, w powiecie jasielskim, zniszczył gumna folwarczne z zapasami zboża i młocarnią dzierżawcy. Szkodę w budynkach oceniają na 2300 złr., w zbożu zaś na 6380 złr.; zboże też było w tej wysokości ubezpieczone. Zachodzą poszlaki, że ogień był podłożony zbrodniczą ręką, a dochodzenie jest w toku.

Przy kopaniu studni w Wiśniczu nowym, w powiecie bocheńskim, dnia 9. bm., utracili życie, skutkiem odurzenia gazem węglowym, robotnicy Franciszek Słowik i Michał Mochel. Wypadek ten jest przedmiotem dochodzenia sądowego.

Złodziej „telefoniczny." Do mieszkania dyrektora jednego z tutejszych banków p. M., przyszedł wczoraj rano młody człowiek, blondyn, około 19 lat liczący, ubrany w ciemno bronzowe palto, z żądaniem, aby mu pozwolono naprawić telefon. Obecna podówczas w domu pani M. zgodziła się na to, mając jednak pewne podejrzenie postanowiła zwrócić baczną uwagę na owego „mechanika." Po kilku chwilach zażądał tenże, aby pani M. posłała do głównej stacji swego służącego po narzędzia potrzebne do naprawy, a które on niby zapomniał. To wzbudziło jeszcze większe podejrzenie, to też w obec odmownej odpowiedzi „mechanik" udał się sam po narzędzia, nie upłynęło jednak 5 minut, gdy już powrócił i zabrał się do naprawy rzekomo popsutego aparatu. Widząc jednak, że pani M. uważa na wszystkie jego czynności, postanowił dać za wygranę i w czas się ulotnił. Jak następnie skonstatowano, młodzieniec ów nie został wysłany z Zakładu telefonów, był więc prostym złodziejem, który chciał skorzystać z nieuwagi państwa M. i należycie się obłowić. Przestrzegamy więc abonentów telefonów przed podobnymi indywiduami.

Usiłowane samobójstwo. Wincenty Sutek, woźnica dorożkarski 41 lat liczący, żonaty, ojciec dwojga dzieci, pozostający w obowiązku u Jana Piety, wskoczył wczoraj o godzinie w pół do 3 popołudniu w zamiarze samobójczym do stawu Pełczyńskiego. Na szczęście spostrzegł to akademik p. Tadeusz Liss, mieszkający w pływalni wojskowej, i z narażeniem życia własnego wyciągnął z wody tonącego już Sutkę. Powodem usiłowanego targnięcia się na własne życie były niesnaski familijne.

Ogień pokojowy. W pomieszkaniu inżyniera p. I. przy ul. Czarnieckiego l. 26 powstał wczoraj wieczorem ogień, skutkiem nieostrożności 5 letniego syna państwa D. który bawiąc się zapaloną świecą podpalił firanki. Ogień został w czas stłumionym przez domowników, i szkoda jest nieznaczna.

Z dziejów nędzy. Komuż nie są znane opłakane stosunki materjalne naszej młodzieży akademickiej, która musi pracować za liche wynagrodzenie w rozmaitych biurach, aby zarobić na utrzymanie siebie a często i rodziny. Niestety zdarza się niejednokrotnie, że młody człowiek pomimo usilnych starań nawet lichego zarobku znaleść nie może, to też wpada w nędzę, która sprowadza go na drogę samobójstwa. Najgorzej pod tym względem postawieni są ubodzy technicy, gdyż wykłady absorbując im cały dzień, nie pozwalają na jakiekolwiek zajęcie biurowe. To też pozostaje im tylko nocna praca, która znów pochłania siły młodzieńca i popycha go na drogę zwątpienia. Na dowód przytaczamy wypadek, który się zdarzył onegdaj w naszem mieście.

Jan R., były słuchacz techniki, liczący lat 29, który utrzymywał się jako dyetarjusz, a utraciwszy przed trzema miesiącami zajęcie przy Prokuratorji Skarbu, pozostawał mimo wszelkich zabiegów bez utrzymania, nie chcąc dalej walczyć z niedostatkiem, otruł się onegdaj w mieszkaniu swej matki pod l. 14 przy ulicy Krótkiej, jakimś kwasem. Po udzieleniu nieszczęśliwemu pomocy przez lekarza kolejowego, dr. Gąsiorowskiego, odwieziono go, jeszcze żyjącego do głównego szpitala.

Smutne ale prawdziwe!

Kraków 16. grudnia. Pogrzeb śp. Emila Barucha odbył się dziś o godzinie 3 popołudniu przy nader tłumnym udziale publiczności ze wszystkich warstw. W orszaku żałobnym widzieliśmy wielu radców miejskich, profesorów Uniwersytetu, członków Izby handlowej i liczny zastęp kupców i przemysłowców. Na trumnie złożono mnóstwo wieńców od krewnych, przyjaciół, od korporacyj i od współpracowników w fabrykach, których właścicielem był zmarły. Przed wyniesieniem zwłok przemówił pastor Gabryś, podnosząc zasługi i prace zmarłego.

Ustawę o pospolitem ruszeniu przynosi *Dziennik rozporządzeń dla m. Krakowa* w nrze 20. Zamieszczenie to nastąpiło wskutek objawionego życzenia ze strony Rady miejskiej, aby ludność mogła dokładnie obznajomić się z obowiązkami, nałożonemi na nią przez rzeczoną ustawę. Nie wystarczy wszakże ogłoszenie tej ustawy w *Dzienniku*, dostającym się jedynie do rąk właścicieli domów, lecz powinna ona być odbitą osobno i rozdaną między mieszkańców Krakowa. Do ustawy dołączonem jest także rozporządzenie Ministerstwa obrony krajowej z d. 17. sierpnia 1886 r., tyczące się spisania osób obowiązanych do służby w pospolitem ruszeniu i utrzymywanie ich w ewidencji.

Delegatów młodzieży polskiej, oraz bawiącego tu od dni paru przybyłego na obchód rocznicy zgonu Batorego, Węgra, serdecznie żegnała młodzież akademicka w lokalu „Czytelni", gdzie zebrali się członkowie wszystkich Stowarzyszeń akademickich. Imieniem Czytelni żegnał odjeżdżających prezes pan Płochocki, imieniem „Zdrowia" p. Waligórski, imieniem „chóru akademickiego" p. Kozłowski. Odpowiadali, dziękując za doznane przyjęcie, pp. Reiner i Chruściński ze Lwowa i pan Leśniak z Wiednia, delegat polskiego „Ogniska". Odjeżdżających odprowadzono na dworzec, gdzie jeszcze przemawiał prezes komitetu obchodu Batorego, p. Jaworski. — Akademicy doznali tam uprzejmego obejścia ze strony naczelnika p. Grybowskiego, któremu też złożyli podziękowanie. Po serdecznych uściskach pożegnano opuszczających Kraków hasłem „do widzenia", gdyż umówiono się, iż przy otwarciu nowego gmachu Uniwersytetu lub podczas Zielonych Świąt w roku przyszłym we Lwowie znów się zobaczą. Szczególnie do Lwowa uroczyście zapraszano tutejszych pp. akademików. Powracająca z kolei młodzież przed hotelem Saskim wzniosła na cześć mieszkającego tam jeszcze b. marszałka krajowego dra Zyblikiewicza trzechkrotny gromki okrzyk: „niech żyje dzielny Zyblikiewicz!" Pod oknami odśpiewano jeszcze „Mnohaja lita". Od młodego Węgra otrzymał komitet akademicki telegram łaciński następującej treści: Z pierwszej stacji węgierskiej pozdrawiam młodzież Polski! — Żyjcie przyjaciele i bracia najmilsi długo!

Z Krakowa donoszą, że od kilku dni przebywa tam jakiś oficer rosyjskiej żandarmerji z Kielc, wrzekomo dla przypatrywania się uroczystościom Stefana Batorego, a w rzeczy samej chcący zapoznać się ze stosunkami wojskowemi, fortecami i mobilizacyjnemi.

Wiedeń 16. grudnia. Arcyksiężniczka Elżbieta, córeczka cesarzewiczowstwa, w czasie wczorajszej przejażdżki po Praterze, wypadła, skutkiem otwarcia drzwiczek z powozu, na szczęście jednak odniosła tylko lekką kontuzję w kolano. Wypadek ten wywołał we wszystkich kołach ludności najwyższe współczucie.

Według ostatniej listy, złożono dotychczas na pomnik marszałka Radecky'ego 212.700 złr.

Wiedeń 15. grudnia. Zwłoki hr. Beust, wdowy po zmarłym niedawno b. kanclerzu, zostały po ceremonjach rytualnych w zamku Altenberg wprost do Drezna do grobowca familijnego wysłane.

Z Wiednia donoszą: Pożyczka bułgarska w wysokości 25 mil. franków już sfinalizowana. Interes zawarły 2 tutejsze instytucje i 2 domy bankowe. Pożyczka użytą zostanie wyłącznie na opatrzenie armji bułgarskiej w karabiny repetjerowe Schulhofa.

O okropnym akcie zemsty przynoszą dzienniki angielskie telegram z Ameryki, który tak się opiewa: Farmer Poe w Kentucky dowiedział się był, że żona jego sąsiada Worms'a prowadzi życie niemoralne, skutkiem czego zabronił swojej rodzinie wszelkich stosunków z domem Wormsa. Ci dotknięci tem do żywego, ułożyli plan zemsty, który okrucieństwem swojem przypomina chyba analogiczne wypadki u dzikich ludów wysp Cichego Oceanu. Oto pewnego poranku, gdy Poe udał się do stajni dla nadzorowania karmy bydła, Worms z żoną i 10-letnim synem wpadli do mieszkania jego i śpiącą jeszcze rodzinę, mianowicie żonę Poego, pięcioro dzieci, a nawet dwie dziewczynki, bawiące tu chwilowo w gościnie, zarznęli brzytwami. Następnie dziki barbarzyńca poodcinał głowy nieszczęsnych ofiar i złożył je na łóżku Poego, ciała zaś ułożył jedno koło drugiego na posadzce sypialni. Zbrodniarzy zapamiętałych zdradził własny ich syn dziesięcioletni, który był świadkiem całej tej rzezi.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Wiadomości osobiste. Henryk Sienkiewicz w powrocie z podróży na Wschód, do Grecji i Włoch, przybył do Krakowa, zkąd uda się na święta do Warszawy. — P. Marcelina Sembrich Kochańska — jak donoszą pisma wiedeńskie — wystąpi tam z koncertem w d. 10. stycznia 1887 w wielkiej sali Towarzystwa muzycznego.

Repertuar teatralny. Dziś w piątek: „Doktor Klauss," komedja L'Arronge'a (benefis p. Wojdałowicza).

Jutro w sobotę: „Don Cezar."

W niedzielę (popoł.): „Aktorowie dworu;" (wiecz.): „Boccaccio."

W poniedziałek: przedstawienie składane na benefis p. Dębickiego.

Koncert w Sokole muzyki wojskowej odbędzie się w niedzielę dnia 19. b. m. Z bogatego programu podnieść wypada Wrońskiego mazury „W Jabłonowskim parku“, grane po raz pierwszy we Lwowie. Początek o godzinie 4 ze względu na urządzony wieczorem koncert na rzecz pomnika śp. Lama.

Zarząd chóru galicyjskiego Towarzystwa muzycznego zaprasza uprzejmie członków chóru damskiego i męskiego na jeneralną próbę (pierwszego koncertu), która się w sobotę 18. bm. o godzinie 5 popołudniu w sali Towarzystwa odbędzie.

Wieczorek humorystyczny. W Kasynie miejskiem odbędzie się w sobotę dnia 18. bm. wieczorek humorystyczny dla mężczyzn. Odegranem będzie „Alfred i Olimpja“, obrazek sceniczny ze śpiewkami w 2 odsłonach przez Marjana Signio. Początek o godz. 8. wieczór.

Ruch Stowarzyszeń.

Z Towarzystwa Politechnicznego we Lwowie. Zgromadzenie tygodniowe odbędzie się w sobotę dnia 18. bm. o godzinie 6. wieczorem w wyższej szkole realnej (na dole sala I. a). Na porządku dziennym: Wykład prof. Jägermanna „O zastosowaniach aetonu cęmentowego w dwóch szczególnych wypadkach.“

Z izby sądowej.

Lwów 15. grudnia.

(Truciciel.)

(*m.*) Niezwykłą i zajmującą rozprawą zajmował się dziś Trybunał sędziów przysięgłych. Mianowicie szło o otrucie arszenikiem bogatego chłopa przez żyda kramarza. Do rozprawy, którą prowadził radca p. Hołyński, zawezwano liczny szereg świadków. Oskarzenie wnosi zastępca prokuratorji państwa p. Spausta, oskarzonego broni dr. Edward Lilien. Sprawa na podstawie aktu oskarżenia przedstawia się w sposób następujący:

Chaim Wurm, z Podkamienia, lat 50. izrael., wdowiec, ojciec 4 dzieci, kramarz, osiedlił się przed 8 lub 9 laty w Tuturkowicach, najął chatę i trudnił się handlem zboża, które zakupywał u gospodarzy w Tuturkowicach. Nadto posiadał także kramik z wiktuałami. W tej samej wsi mieszkał także zamożny wieśniak Iwan Wec, który był powszechnie znany jako gospodarz wzorowy, trzeźwy, pracowity i zamożny, a sąsiedzi rachowali, iż musi posiadać w gotówce znaczną kwotę. Iwan Wec wprawdzie nie chwalił się, że ma uzbieraną gotówkę, jednak temu się nikt nie dziwił, albowiem tenże wraz z kilkoma innymi gospodarzami zaręczył był za całą wieś przy zaciągnięciu pożyczki w kwocie kilku tysięcy w Banku włościańskim na zadatek na zakupno łąk lutowskich, który to zadatek, dany w niewłaściwe ręce, przepadł, wskutek czego też rzeczony Bank uzyskał kroki egzekucyjne przeciw niemu i innym gospodarzom. Naturalnie, jako jeden z najzamożniejszych gospodarzy, obawiał się tenże, aby zaspokojenia długu nie szukano głównie na jego majątku, to też od dłuższego czasu nie zakupywał żadnych gruntów, choć we wsi każdy wiedział, że ma na to pieniądze. Zboże swoje od dłuższego już czasu sprzedawał zawsze Chaimowi Wurmowi i nawet pożyczał pieniądze w znaczniejszej ilości, lecz właśnie z powodu powyższej obawy wypożyczał mu je bez świadków i bez jakiegokolwiek dokumentu.

W piątek 26. października 1883, około godziny 3. rano wstał Iwan Wec i zatrudniał się, jak zwykle, przy gospodarstwie. O godzinie 8-mej rano oświadczył swym córkom Handzi Wec i Marji Wec, iż musi pójść zaraz do Chaima Wurma, by upomnieć się u niego o oddanie dłużnych mu pieniędzy, co też uczynił natychmiast. Około godziny 9. rano wrócił Iwan Wec do domu, a na zapytanie żony swej Marjanny powiedział jej, że był właśnie u Chaima Wurma i wraca wprost od niego. Następnie siadł do obiadu, lecz już pierwszego kartofla nie mógł przełknąć, lecz wyrzucił go z ust, poczem zaczął silnie wymiotować, skarżąc się równocześnie na ciągłe nudności i na ból w żołądku. Wymioty te trwały przez cały piątek i ustały dopiero wieczorem, a w nocy nastąpiły silne kurcze w nogach. W piątek wieczór posłano po księdza, a w sobotę wczesnym rankiem po lekarza z Waręża, p. Markla; atoli wszelkie usiłowania utrzymania chorego przy życiu, były bezskuteczne; zmarł bowiem w sobotę wieczór, tj. 27. października 1883.

Marjanna, żona Iwana, zaraz po pierwszych wymiotach pytała męża, czyli nie był w karczmie, na co tenże wyraźnie odpowiedział, że był tylko u Chaima Wurma, który dał mu kieliszek wódki z przekąską. Następnie częstował go dwiema szklankami herbaty, z których jedna była słodka, a druga cierpka, przyczem dodał, że wprost od Chaima Wurma przyszedł do domu i że właśnie ta herbata tak go znudziła. Po spowiedzi i po przyjęciu św. komunji w piątek wieczór, na zapytanie ks. Leona Kowszewicza i w obecności Fedka Baka, opowiadał Iwan Wec z całą przytomnością, iż tegoż dnia rano przyszedł był do Chaima Wurma w tym celu, ażeby upomnieć się u niego o zwrot wypożyczonych mu 350 zł., który to dług Chaim Wurm zaciągnął u niego w ten sposób, że raz wziął był 100 zł., później 150, a wreszcie za kupioną na kredyt pszenicę pozostał mu winien 100 zł. Na dalsze zapytanie odpowiedział Iwan Wec, że nie wziął ani weksla, ani skryptu i że przytem także nie było żadnych świadków, bo obawiał się, aby ludzie we wsi nie rozgłosili, że on ma pieniądze, dodał zarazem, że Chaim Wurm podszedł go, obiecując mu 10 zł. od sta i udzielanie innych rzeczy, jak nafty, soli itp. Następnie opowiadał Iwan Wec, że owego ranka Chaim Wurm posadził go grzecznie, obiecał wypłacić procenta, później zaś i kapitał, poczem potraktował go jedną szklanką herbaty, a gdy Iwan chciał odejść, także drugą szklanką, przyczem nadmienił, że pierwsza szklanka herbaty była słodką, druga zaś cierpką. Na szczegółowe zapytanie ks. Kowszewicza Iwan Wec zeznał także, iż nigdzie nie wstępował, lecz od Chaima Wurma wprost do domu powrócił. Po powrocie do domu nie jadł nic, gdyż siadłszy do stołu, już pierwszego kartofla przełknąć nie mógł i począł wymiotować. Powyższe zeznania powtarzał Iwan Wec także w obecności innych świadków, a mianowicie szczegółowo w obec Dmytra Sydora, przed którym nadto powiedział, że drugą szklankę herbaty podał mu sam Chaim Wurm i zaraz w drodze do domu zrobiło mu się niedobrze. Gdy przyszedł do domu nie chciał tylko dać zaraz znać po sobie, że ma nudności.

Iwan Wec zmarł tedy w sobotę, tj. 27. października 1883 wieczorem, a sądowi lekarze na podstawie przeprowadzonych na dniu 29. października 1883 oględzin i obdukcji zwłok Iwana Weca orzekli, że w obec zmian w żołądku, w obec znalezionej zawartości żołądka, i w obec objawów słabości, mianowicie wymiotów przez cały dzień trwających, boleści silnych w żołądku, nadzwyczajnego pragnienia, a następnie silnego rozwolnienia i nagłego upadku sił u człowieka przedtem zupełnie zdrowego, i silnych kurczów w nogach — śmierć Iwana Weca powstała przez otrucie. Jako środek do otrucia użyto białego arszeniku. Następnie przedsięwzięto także chemiczny rozbiór wnętrzności Iwana Weca, i w tym względzie orzekli znawcy sądowi, że w nadesłanem przez ck. Sąd powiatowy w Sokalu licu, składającem się z wątroby, nerek, żołądka, itp. wnętrzności ludzkich, jakoteż z cieczy z żołądka — znachodzi się trucizna, zwana pospolicie białym arszenikiem, tj. kwas arsenawy, a przypuściwszy, że we wszystkich wnętrznościach znachodziło się tylko 20 razy tyle, ile zdołano wydzielić z 150 gr. tych wnętrzności — zadana ilość była zupełnie dostateczną do zatrucia dorosłego człowieka. Zostało przeto stwierdzonem, że Iwan Wec zmarł śmiercią gwałtowną w skutek otrucia białym arszenikiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rada miasta Lwowa.

(*m*) **Lwów** 16. grudnia. Przewodniczy wiceprezydent p. Mochnacki. Zawiadamia po otwarciu posiedzenia Rady, że hr. Artur Gołuchowski nadesłał na zakupno losów Zakładu św. Kazimierza w Paryżu 50 złr. nie żądając nadesłania tychże. Rada uchwaliła wyrazić hr. G. najżywsze podziękowanie.

R. Głodziński stawia następujący wniosek nagły:

„*Reprezentacja stołecznego miasta Lwowa pomna wspaniałego i nad wszelki wyraz serdecznego przyjęcia, doznanego we wrześniu 1885 r. przez cały ogół ludności na Węgrzech, wyraża głębokie swe ubolewanie, że gdy się nadarzyła sposobność bodaj części owego odwzajemnienia reprezentantom bratniego narodu uczuć szacunku i miłości podczas obchodu rocznicy śmierci króla Stefana Batorego w Krakowie, zapowiedziane przybycie młodzieży węgierskiej na tę uroczystość nie przyszło do skutku.*“

Wniosek ten motywował p. Głodziński w krótkich słowach podnosząc, że przygotowania do uroczystości nie były żadną tajemnicą, odbywały się jawnie i po obywatelsku. Smutną i ubolewania godną jest rzeczą, że gdy goście, którzy nas w zeszłym roku tak serdecznie u siebie przyjmowali, pragnęli przybyć na polską ziemię, zamknięto przed nimi bramy. Fakt ten uważać należy jako ubliżający narodowości polskiej.

Radny adwokat dr. Till sprzeciwia się, aby wniosek ten traktowany był jako nagły i żąda, aby szedł drogą regulaminową. Mowca obawia się, aby Rada tego kroku nie żałowała, gdyż wystąpienie przeciw krakowskiej Radzie miejskiej (chyba przeciw p. Szlachtowskiemu; *Pr. R.*) byłoby niebezpiecznym precedensem na przyszłość. P. Till sadzi że i Radzie lwowskiej może się zdarzyć również jakiś nieprzyjemny wypadek, któryby mógł następnie wywołać podobną uchwałę krakowskiej Rady miejskiej.

P. Głodziński odpiera zarzuty dr. Tilla; podnosi, że nie wymieniał nikogo po nazwisku, mówił ogólnie; zaznacza wszakże powtórnie, że obowiązkiem każdego Polaka jest wypowiedzieć swoje oburzenie.

Rada po uchwaleniu nagłości wspomnianego wniosku przyjęła go następnie znaczną większością.

Radny Rewakowicz zwraca uwagę p. wiceprezydenta, że w szkole na Pasiekach od kilku dni nie palą w piecach z powodu braku drzewa opałowego i że tak dzieci jak i nauczyciele siedzą w salach nieopalanych.

P. Mochnacki przyrzekł, że zarządzi natychmiast, co potrzeba.

Radny ks. Mazurak stawia następujący wniosek:

Komisja budżetowa Rady miejskiej proponuje wniesienie do Sejmu prośby, aby wszystkie Reprezentacje Towarzystw asekuracyjnych, mające swe zastępstwa we Lwowie, obowiązane były do uiszczania pewnego procentu na rzecz gminy.“ Wniosek ten wraz z dodatkiem p. Rewakowicza: „aby równocześnie prosić Sejm także o uchwalenie jak najspieszniej ustawy o policji egniowej“. Rada przyjęła. Fundusze te obrócone być mają na straż pożarną.

W dalszym ciągu posiedzenia uchwalono zakupić grunt z realności l. 479¾ na regulację ulicy Inwalidów, odrzucono rekursa Cirli Lerner i spadkobierców ś. p. Ignacego Lewakowskiego (usunięcie budki na gruncie miejskim i kramu w realności l. 179 m.), przyjęto do wiadomości cyfrę kosztów utrzymania zaprzęgów miejskich, wreszcie uchwalono zakupno od św. Łazarza na rzecz funduszu gminy łąki w Biłohorszczy.

Na interpelację, wniesioną na jednem z ostatnich posiedzeń, w sprawie zobowiązania kolei państwowych do płacenia dodatków gminnych do podatków państwowych, wyjaśnił radny p. Bodyński, że w obec ustawy, która normuje tę sprawę, rzecz jest bezprzedmiotową.

Odrzucono następnie rekurs Markusa Ozjasza Jollesa w sprawie budowniczej; również nie zgodzono się na przyjęcie kanału w realności Walerji hr. Borkowskiej na własność gminy.

O godzinie kwadrans na 9. zarządził p. wiceprezydent posiedzenie poufne, na którem inspektorem szkoły ruskiej im. Szaszkiewicza został wybrany p. Pietruszewicz 45 głosami przeciw 16, które otrzymał p. Gamota.

Gospodarstwo, przemysł i handel.

Nowe tabele redukcyjne. Odnośnie do ogłoszenia z dnia 13. listopada r. b. o wydaniu nowych tabel redukcyjnych do obliczenia rzeczywistej siły i pojemności spirytusu przy normalnej temperaturze 12° R — podaje obecnie lwowska Izba handlowa do wiadomości, że tabele te w handlu spirytusem nie mają jeszcze mocy obowiązującej, i że termin, od którego tabele pomienione będą musiały być w handlu obowiązkowo używane, poda Ministerstwo handlu w swoim czasie do wiadomości, dodatkowo do rozporządzenia swego z dnia 6. lipca 1875 dz. u. p. nr. 102.

Przegląd polityczny.

Lwów 17. grudnia.

[W Sejmie czeskim] obok wniosku Plenera, dotyczącego uchylenia reskryptu ministra Prażaka o języku w Sądach i domagającego się narodowościowego rozgraniczenia powiatów sądowych, zajmują się głównie znanym wnioskiem szkolnym hr. Henryka Clama, tudzież uzasadnionym przez posła dr. Nitschego wnioskiem, żądającym zmiany ustawy krajowej w sprawie uregulowania stosunku prawnego nauczycieli, które zresztą zostało uznane i poparte licznemi petycjami, oraz rozporządzeniem namiestnika, podnoszącem potrzebę uczynienia czekolwiek dla poprawy bytu nauczycieli ludowych i obliczył, iż przez uchwalenie 800.000 złr. możnaby poruszonej tu sprawie nadać pomyślny kierunek. Wniosek p. Nitschego przyjęto jednogłośnie w pierwszem czytaniu i przekazano go komisji szkolnej.

[Przyszłe wybory na Węgrzech.] Według doniesienia *Pol. Cor.* krząta się opozycja około przygotowań do przyszłej kampanji wyborczej. Umiarkowana opozycja wybrała przed kilku dniami potajemnie komitet wykonawczy, sonduje opinję po prowincji, organizuje w komitatach południowych komitety wyborcze i rozsyła zaufanych ajentów po całym kraju. Młodzi członkowie umiarkowanej opozycji byliby skłonni do wspólnego działania z antysemitami, którzy ze swej strony również poczynili już pewne przygotowania. Projekt ten natrafi jednak zapewne na opozycję starszych decydujących członków, co jednak nie wyklucza wspólnego działania od wypadku do wypadku. Stronnictwo niezawisłych uzbraja się również, aby nie ponosić szkody od antysemitów. Ze względu na to i stronnictwo rządowe organizuje się z nowym rokiem do wyborów. W obec tego, że sesja obecna potrwać może do września roku przyszłego, kampanja wyborcza będzie trwała siedm do ośm miesięcy.

Sejm galicyjski.

(*5. posiedzenie, 4. sesji V. perjodu.*)

Lwów 17. grudnia.

Początek posiedzenia o godz. 11. m. 50.

Przewodniczy marszałek kr. hr. Jan Tarnowski.

Sekretarz p. Jędrzejowicz odczytuje spis petycyj, z których wymieniamy następujące:

Wydział Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych p. p. Bobrzyńskiego o subwencję na wydawnictwo czasopisma „Muzeum“. — Gmina Jasło p. p. ks. Buchwalda, o zmianę ustawy budowlanej z 28. kwietnia 1882. — Wydział powiatowy w Bóbrce p. p. Henzla o zmianę §. 38. ustawy o ochronie własności polnej. — Wydział powiatowy w Wieliczce p. p. Wereszczyńskiego o zmianę §. 2, 95, 96. ustawy gminnej. — Zarząd oddziału Towarzystwa pedagogicznego w Przemyślu p. p. Waygarta o subwencję dla szkoły przemysłowej. — Obszar dworski i Zwierzchność gminna w Bołszowcach p. p. Onyszkiewicza o utworzenie tamże siedziby c. k. Sądu powiatowego. — Gminy Moszczenica niżna i wyżna p. p. Romera o zasiłek na wykończenie budynku szkolnego. — Edmund hr. Krasicki właściciel dóbr p. p. Kozłowskiego o zmianę ustawy drogowej. — Gmina Podkamień p. p. Jaworskiego o utworzenie c. k. Sądu powiatowego w Podkamieniu. — Leonarda Hammermüller. ksieni pp. Benedyktynek w Przemyślu p. p. J. Gnoińskiego o pożyczkę 20.000 zł. na rozszerzenie budynku szkolnego. — Gmina Żurawno p. p. Wernickiego o ustanowienie c. k. urzędu podatkowego w Żurawnie. — L. Zieleniewski fabrykant maszyn w Krakowie p. p. Gorayskiego o okazanie pod powagą Wydziału krajowego w wystawie krakowskiej w r. 1887 kompletnego „rygu kanadyjskiego“ jego wyrobu. — Reprezentacja powiatowa w Stryju p. p. Ochrymowicza o uchwalenie ustawy przymusowej asekuracji budynków włościańskich. — Antoni Czerny emerytowany leśniczy p. p. Pilata podaje niektóre uwagi w przedmiocie reformy przepisów o polowaniu. — Towarzystwo rybackie w Krakowie p. p. A. Potockiego o fundusz na zaprowadzenie kursu rybactwa w szkole rolniczej Czernichowskiej.

Prócz powyższych petycyj wniesiono jeszcze 52 petycyj o subwencje i zapomogi.

Poseł I. Gnoiński i towarzysze wnoszą następującą interpelację do JE. p. namiestnika jako komisarza rządowego:

„Dnia 8. marca 1861 zmarł ś. p. Hieronim Sadowski, właściciel dóbr Czortków i Wygnanka, a testamentem z dnia 2. czerwca 1854 przeznaczył cały swój majątek na założenie domu ubogich i szpitalu w Czortkowie z tem zastrzeżeniem, iż dochody z rzeczonych dóbr pobierać mają po jego śmierci najprzód siostra, później siostrzenica, jako dożywocie.

Od śmierci ostatniej dożywotniczki upłynęło lat siedm (umarła 2. września 1879) z dochodów dóbr fundacyjnych, czyniących rocznie około 15.000 złr., zebrano kilkadziesiąt tysięcy kapitału, pomimo tego fundacja nie wchodzi w życie, a dobra pozostają w administracji rządowej.

Niżej podpisani zapytują JE. c. k. komisarza rządowego, co stoi na przeszkodzie wprowadzeniu w życie tej pięknej humanitarnej fundacji i kiedy można spodziewać się spełnienia ostatniej woli ś. p. fundatora?

Poseł Langie i towarzysze złożyli do laski marszałkowskiej następujący wniosek:

„Zważywszy, że umiejętnie prowadzone gospodarstwo rybne mogłoby się wielce przyczynić do podniesienia dobrobytu kraju;

zważywszy, że brak ludzi gruntownie z rybactwem obeznanych stawia główną przeszkodę w rozwoju tego gospodarstwa;

Wysoki Sejm raczy uchwalić: Sejm poleca Wydz. krajowemu:

1. Ażeby zaprowadził wykłady nauki rybactwa w krajowych szkołach rolniczych.

2. Ażeby ułatwił wykształcenie dwóch nauczycieli gospodarstwa rybnego przez udzielenie kandydatom odpowiednich stypendjów.

3. Ażeby stawki w Dublanach stósownie do potrzeb praktycznej hodowli ryb urządzić polecił. Na te cele otwiera Sejm Wydz. kraj. kredyt na r. 1887 w wysokości 2000 złr.“

Poseł Gross i towarzysze złożyli do laski marszałkowskiej następujący wniosek:

„Wysoki Sejm raczy uchwalić:

Sejm król. Galicji i Lodomerji wraz z Wielk. Ks. Krak. poleca Wydziałowi krajowemu, ażeby celem rychłego wejścia w wykonanie w kraju naszym ustaw państwowych z dnia 7. czerwca 1883 (dz. u. p. nr. 92—94) o komasacji gruntów, dzieleniu gruntów wspólnych, o oczyszczeniu lasów z cudzych gruntów, dalsze poczynił kroki w myśl reskryptów c. k. Ministerstwa rolnictwa z dnia 27. grudnia 1885 l. 16277 i z dnia 27. sierpnia 1886 l. 6864 i aby potrzebne dla dalszego rozwoju tej sprawy wnioski przedstawił Sejmowi na najbliższej sesji“.

Izba przechodzi do porządku dziennego.

1. Pierwsze czytanie przedłożenia rządowego z projektem do ustawy o zewnętrznych odznakach organów straży do ochrony kultury krajowej ustanowionej i zaprzysiężonej. Odesłano na wniosek hr. Badeniego do komisji administracyjnej.

2. Pierwsze czytanie wniosku posła Władysława Koziebrodzkiego z projektem ustawy o zarządzie gminnych kas pożyczkowych.

P. Koziebrodzki wskazuje w uzasadnieniu swego wniosku na wysoką doniosłość instytucji gminnych kas pożyczkowych i zaznacza, że myślą przewodnią jego było uczynienie tej instytucji korzystną dla ludności. Mowca przechodzi w dłuższym wywodzie historję rozwoju instytucji kas pożyczkowych w kraju i losy jej w Sejmie i Wydziale krajowym, przypomina znakomitą na tem polu działalność śp. hr. Henryka Wodzickiego. W szczególności rozbiera mowca działalność Sejmu i Wydziału kr. na tem polu od r. 1880 i cytuje wykazy i sprawozdania kas pożyczkowych powiatu jarosławskiego. Mowca prosi o odesłanie wniosku do kom. gminnej. Przyjęto.

3. Pierwsze czytanie wniosku posła Stanisława Badeniego w przedmiocie zmiany niektórych postanowień ustawy szkolnej z dnia 25. czerwca 1873 o władzach nadzorczych miejscowych i okręgowych dla szkół ludowych.

Hr. St. Badeni uzasadniając swój wniosek zaznacza, że sprawa reformy szkolnictwa szczególnie mu leży na sercu i w myśli tej działa jako członek Rady szkolnej. Sprawa reformy nadzoru szkolnego wydaje się mowcy szczególnie ważną, ważniejszą może aniżeli reformy samych ustaw szkolnych. W historycznym przeglądzie ustaw, dotyczących nadzoru szkolnego wykazuje mowca, że ustawy te pochodzą z czasów, kiedy zakres działania autonomicznej Rady szkolnej był mały. Skutek musiał być naturalnie nieodpowiedni. Inspektorowie nie są przy obecnem ustawodawstwie mimo najlepszej chęci w stanie zadość uczynić włożonym na nich obowiązkom zwłaszcza, że materjał nauczycielski jest młody, bez tradycji. Gdyby się nawet zdarzyło, że inspektor zwidzając z początkiem roku szkolnego szkołę udzieli nauczycielowi pewnych rad i wskazówek, to czasem minie lat kilka nim ten inspektor znajdzie sposobność przekonać się ażali rady jego odniosły skutek. Jedynym środkiem zaradzenia złemu jest zmniejszenie okręgów szkolnych a zwiększenie liczby inspektorów. Na podstawie dat statystycznych samej Austrji dotyczących wykazuje mowca jak niekorzystnym jest stosunek w Galicji między ilością inspektorów a liczbą dzieci i szkół. Podział zamierzony w wniosku mowcy był już nawet przez Rząd proponowany w Sejmie i jest przeprowadzony we wszystkich krajach monarchji austrjackiej. Zresztą wykonanie przymusu szkolnego, które u nas pozostawione, jest nie Radom szkolnym miejscowym ale okręgowym, wymagałoby zmniejszenia tychże, jeśli wykonanie przymusu szkolnego nie ma się stać iluzorycznym. Mowca nie poszedł w swym wniosku do ostatecznych granic, raz ze względu na to, że niestety w wielu okręgach mało dotychczas szkół, a z drugiej strony, aby nie powiększyć zbytnie kosztów nadzoru i aby umożliwić przeprowadzenie zamierzonej reformy. Nie żąda mowca żadnych dla Galicji odrębności, ale umożliwienia, wydoskonalenia szkolnictwa i poleca go życzliwości Izby prosząc o odesłanie go do komisji szkolnej. (*Brawo*). Wniosek przyjęto.

4. Pierwsze czytanie wniosku posła Romanowicza w przedmiocie pory zwoływania sesyj sejmowych i ich dłuższego trwania.

P. Romanowicz przypomina, że nie po raz pierwszy znajduje się Sejm w położeniu upomnienia się o pozostawienie mu więcej czasu do obrad. Mowca przypomina historję tej sprawy i enunciacje Sejmu, powzięte w tej mierze kilkakrotnie. Wszystkie odnośne wnioski Sapiehy, Zyblikiewicza, Smarzewskiego, Grocholskiego, do skutku nie doprowadziły. Ze krótkie sesje sejmowe wychodzą na niekorzyść spraw krajowych, dowodzić byłoby zbytecznem. Przykłady lat ubiegłych, a zwłaszcza obrady nad sprawą reformy szkolnej, i już tego roku, mianowicie wniosek p. Męcińskiego w sprawie wczesnego przedłożenia budżetu, dowodzą, że czas wymierzany Sejmowi do obrad i załatwienia spraw krajowych, zbyt jest szczupłym. Spotyka się często zarzut, że sesje dłuższe są zbyteczne, albowiem inicjatywa prawodawcza Sejmu jest mała i Sejm nie miałby nic do zdziałania. Na zarzut ten jest odpowiedź, że właśnie krótkie sesje sejmowe są powodem, że inicjatywa ustawodawcza Sejmu jest skromną. Jeśli więc Sejm ma odpowiedzieć zadaniu, wówczas zadaniem jego jest upomnieć się o wyznaczenie mu dłuższego czasu do obrad. Co do strony formalnej, byłby mowca za nagłością, sam jej jednak nie stawia i wnosi odesłanie do komisji prawniczej.

JE. p. namiestnik zaznacza, że Sejm najzupełniej podziela zdanie że sesje sejmowe są krótkie i ubolewa nad tem, że ich inicjatywa ustawodawcza jest tak mała. Mowca poprzedni nie podał jednak sposobu, jak w tak skomplikowanym organizmie konstytucyjnym temu zaradzić. Przed każdem zwoływaniem Sejmu porozumiewa się Rząd z prezydentami sejmowymi i dotychczas żaden się nie oświadczył za zwołaniem Sejmu w lipcu. Zresztą zastrzega sobie p. namiestnik dalsze uwagi przy drugiem czytaniu.

Wniosek odesłano do kom. prawniczej.

5. Sprawozdania Wydziału krajowego w przedmiocie udzielenia koncesji do pobierania opłat mytniczych niektorym Radom pow. i obszarom dworskim. (Sprawozdawca poseł W. Badeni).

Uchwalono zgodnie z wnioskami Wydziału krajowego.

Na tem wyczerpano porządek dzienny.

Marszałek poświęca gorące wspomnienie zmarłemu ks. Kalince, podnosząc w kilku słowach zasługi jego dla narodu i kraju jako historyka i nauczyciela.

Koniec posiedzenia o godz. 1. min. 55.

Następne w poniedziałek o godz. 11.

Porządek dzienny będzie później rozesłany.

* * *

Komisja górnicza, która wczoraj po południu odbyła pierwsze posiedzenie, zajęła się przedewszystkiem rozdawnictwem referatów. Sprawozdanie Wydziału krajowego o sprawach górniczych poruczono posłowi Chamcowi. Petycję L. Zieleniewskiego, fabrykanta maszyn w Krakowie, o okazanie pod powagą Wydziału krajowego na wystawie krakowskiej w r. 1887 kompletnego rygu kanadyskiego jego wyrobu— poruczono p. Hausnerowi.

W końcu poseł hrabia Łubieński podniósł, czyli nie należałoby poprzeć sprawy oclenia nafty. W tym względzie przeprowadzono bardzo ożywioną dyskusję, wszyscy członkowie komisji zgodzili się na potrzebę podniesienia tej sprawy. Uchwalenie formy, w jakiejby to stać się miało, odroczono do następnego posiedzenia.

Dziś po posiedzeniu sejmowem odbędą się posiedzenia komisji gospodarstwa krajowego i drogowej. Jutro w południe zbierze się Klub prawicy.

Telegramy własne „Dziennika Polskiego.“

Kiszyniew 17. grudnia. Przybył tu transport 600 koni z Odessy, przeznaczonych dla górskich bateryj konnych. Konie te są kaukazkiej rasy, małe ale nader silne i są przeznaczone dla korpusu południowej armji rosyjskiej.

Telegramy biura koresp.

Wiedeń 16. grudnia. Deputacja bułgarska wyjechała wczoraj wieczorem do Berlina.

Wiedeń 17. grudnia. *Pol. Cor.* konstatuje, że myśl o kandydaturze ks. Ferdynanda Koburg jest inicjatywą wyłącznie bułgarską. Deputacja bułgarska zgłosiła się do ks. Koburga, bez jakiegokolwiek porozumienia się poprzedniego z wpływowemi osobistościami we Wiedniu. Dotychczas nie wiadomą jest rzeczą czy deputacja działała z polecenia Sobranja lub Rejencji, czy też na własną rękę. Dlatego też musiał ks. Koburg, jeżeli nie chciał wprost odmówić propozycjom deputacji, działać tylko z największą rezerwą. Dalej musiał książę i na to zwrócić uwagę, że dotychczas nie została formalnie cofniętą kandydatura ks. Mingrelji, proponowana przez gabinet petersburski, a oficjalnie przez Turcję mocarstwom notyfikowana. Stanowisko księcia, jako oficera austro-węgierskiej armji, wymagało całkiem naturalnie, ażeby cesarza o tej propozycji uwiadomił. Również naturalną jest rzeczą, że książę sądził, iż należy mu w danym razie porozumieć się z hr. Kalnoky'm. Tymczasem wieść o proponowanej księciu kandydaturze dostała się do publicznej wiadomości, przyjętą została przez prasę z rzadką jednomyślnością i sympatją.

Z tego wszystkiego jednak wypływa, i co należy mieć na oku, że gabinet austrjacki również nie był uwiadomiony o rzeczonych zamiarach bułgarskiej deputacji, i o poczynionych przez nią krokach, jak każdy z innych gabinetów mocarstw europejskich.

Kopenhaga 16. grudnia. *Berlingske Tidende* oświadcza, że doniesienia dzienników zagranicznych o powiększaniu armji i o przygotowywaniu obwarowań za poparciem ze strony mocarstw zagranicznych, są zupełnie bezzasadne. Zaproponowane obwarowania nie wymagają 90 do 150 miljonów, ale 39 milj. koron, a na ukończenie ich potrzeba pięciu do siedmiu lat. Obwarowania te nie mogą być zatem uważane za przygotowania wojenne.

Petersburg 17. grudnia. *Petersb. Journal* pisze, że kandydatury ks. Koburgskiego nie można brać na serje. Twierdzenie, iż ta kandydatura nie natrafi na opozycję ze strony żadnego mocarstwa, jest za nadto awanturnicze.

Bukareszt 17. grudnia. Doniesienia pism zagranicznych o wrzekomym zamachu na króla Karola, są nieprawdziwe.

Rzym 17. grudnia. Minister wojny broniąc w Izbie poselskiej budżetu wojennego, oświadczył, że wprawdzie bezpośrednie niebezpieczeństwo wojny nie istnieje, Włochy jednak muszą być na każdą ewentualność przygotowane.

Paryż 17. grudnia. Senat aprobował prowizorjum budżetowe, odrzucając artykuł o redukcji stopy procentowej kas oszczędności. Zmodyfikowane w ten sposób przedłożenie przyjdzie jutro na stół Izby.

Paryż 17. grudnia. Ambasador włoski wręczył Rządowi awizację traktatu handlowego upływającego z dniem 1. stycznia 1888. Zaraz oznajmił skłonność Rządu włoskiego do podjęcia rokowań o nowy *modus vivendi*.

Berlin 17. grudnia. Komisja wojskowa odrzuciła 16 głosami przeciw 12. zarówno wszystkie poprawki, jak i §. 2. przedłożenia rządowego o formacji armji od 1. kwietnia 1887 począwszy, poczem nastąpiła przerwa, gdyż liberalni chcieli sformułować nowe wnioski. Po ponownem podjęciu obrad uchwalono 16 głosami przeciw 12. zamiast 468.409 tylko 450.000 żołnierzy, jako pokojową siłę presencyjną, a mianowicie na 3 lata.

Berno (w Szwajcarji) 16. grudnia. Rada narodowa upoważniła Radę związkową, aby nowe materjały wojenne, preliminowane na r. 1888 i 1889 dostarczone zostały już w roku 1887, wyrażając zarazem oczekiwanie, że Rada związkowa nie zaniedba niczego we właściwym czasie, co będzie niezbędnem dla zawarowania całości i niepodległości Szwajcarji w obec zawikłań wzajemnych w państwach sąsiednich.

Berlin 17. grudnia. W komitecie wojskowym zaproponował Huene trzyletnie przyzwolenie 518 zamiast 534 bataljonów, oświadczając, że centrum chce oprócz tego, wyjątkowo na jeden rok zezwolić na 534 bataljonów. Również i Stauffenberg wnosi aby zezwolić tylko na 518 bataljonów. Prócz tego miałaby przez trzy lata jeszcze 15 bataljonów być sformowanych, a powoływanie rekrutów — aż do zaprowadzenia 2-letniej służby na miesiąc styczeń przełożone. Na to oświadczył minister wojny, że obydwa wnioski nie są do przyjęcia.

Wiadomości giełdowe.

Wiedeń dnia 17. grudnia godzina 10. min 40 Akcje kredytowe 294·40, Anglo-Austr. —·—, Akcje banku Unies 219·—, Kolej Karola Ludwika 194·50, Połudn. —·—, Renta papierowa —·—. 5-prc. Listy zastawne galic banku hipot. 103·25, 5-prc. Listy zast. gal. banku hipot. (prem.) 100·25, 4½ Galicyjski bank krajowy 97·75, Obligi 4½% pożyczki krajowej z roku 1883 96·50, Losy z roku 1864 —·—, Napoleondor 9·94, Rubel papierowy —·—. Usposobienie: ciche.

Wiedeń dnia 16go grudnia godz. 5. min. 57. Jednolity dług państwa w banknotach 82·85, w srebrze 83·40, Renta w złocie 112·15, 5% austr. renta marcowa 100·10, Akcje banku austro-węg. 852·—, kredytowego 293·10, Londyn 125·75, Srebro —·—, Napoleondor 9·94, Dukat ces. mer. 5·96, 100 marek niemieckich 61·72½.

Berlin dnia 16. grudnia, godzina 5. min. 35 Rosyjski banknoty 189·75, Akcje kredytowe 476·—, Lombardy 171·50, Galicyjskie 79·10, Kolei rumuńskiej 56·90, Austrjackie banknoty 161·70. Po zamknięciu giełdy: kredytowe —·—, Lombardy —·—

Przyjechali do Lwowa

dnia 17. grudnia 1886 r.

HOTEL ŻORŻA. O. Schnell, z Firlejówki. W. B. Harding, z Pesztu. St. Badeni, z Branie. Ks. Skrzyński, z Krościenka.

HOTEL FRANCUSKI. Marja hr. Putiatin, z Petersburga. W. Fedorowicz, z Okna. W. Töpfer, z Rozdołu. K. Twardowski, z Jezupola. L. Seidel, z Wiednia. C. Joli, z Wiednia. Wł. Lewicki, z Załośca.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Józef Laskownicki. Z Drukarni „Dziennika Polskiego" pod zarządem Jana Mittiga.

Dodatek do „Dziennika Polskiego“ Nr. 289.

Na dziejowym przełomie.

Powieść historyczna z XVgo wieku.

przez

Józefa Rogosza.

Tom trzeci.

(Ciąg dalszy.)

Wiszur skończył na tej mądrej sentencji. Soliman czoło zasępił. To co od jeńca usłyszał, nie sprawiło mu przyjemności. Spodziewał się sowitego okupu, tymczasem miał przed sobą pospolitego charłaka bez majątku ni rodziny, o którego prawdopodobnie, niktby się nie zgłosił.

— Co ja teraz z tobą pocznę, psie niewierny?

— Co wasza łaska.

— Będę cię chyba musiał na targ wyprowadzić, bo sam mam już dosyć niewolników.

Wiszurowi nie sprawiła ta zapowiedź żadnej przyjemności. Soliman choć Tatar i poganin, obchodził się z nim po ludzku, a inny mógłby go męczyć. Westchnął do swego patrona, prosząc go o natchnienie.

— Chcecie mnie sprzedać — rzekł pokornie — lecz czy myślicie, że mnie kto kupi? Patrzcie na mnie, jeno skóra i kość, sił nie mam za dziecko, a gdy idę, to tak się we mnie wszystko z głodu trzęsie, że kiszki trzeszczą jak wióry, a serce i żołądek uderza. Jak mnie takiego na targ wywiedziecie, nie da za mnie nikt ani rupii.

Tatar obrzucił jeńca okiem znawcy. Zdaje się, że znalazł go rzeczywiście takim, jakim sam się malował, skoro rzekł półgłosem:

— Trudna rada, psie! Jak widzę, trzeba cię będzie odkarmić, bo takiego jak teraz jesteś, nie wziąłby nikt ani za darmo.

Po tej rozmowie los Pietrasza niezmiernie się poprawił. Dano mu spokojny kąt w domu, trzy razy na dzień dostawał jeść do syta, najczęściej baraninę z ryżem, mleka kobylego pił ile sam chciał, nie żądano od niego żadnej roboty, słowem był uważaby nie jak jeniec, lecz jak gość upragniony, a dawno niewidziany, któremu gospodarz domu radby nieba przychylić. Gdy na dywanie wyciągnięty leżał do góry brzuchem, nie raz zastanawiając się nad tem, co się z nim działo, mówił do siebie:

— I niech kto powie teraz, że rozumnemu lepiej na świecie niż głupiemu... nie prawda! Mądry musi sobie sam radzić, a głupim Pan Bóg zawsze się opiekuje. Na mądrego wszyscy godzą, bo za to, że ma więcej niż inni oleju w głowie, nikt go nie lubi, i każdy mu kije rzuca pod nogi, a na głupiego nikt uwagi nie zwraca. Chyba jeden pies na niego szczeka, gdy drogą idzie... Ale z psem zawsze łatwiej dać sobie radę, niż z człowiekiem. Uderz psa gdy szczeka, a umilknie i uciecze; uderz człowieka, gdy mu z oczu wyczytasz, że w skrytości swego serca źle ci życzy, a dopiero wtedy zacznie na dobre ujadać i na twoją zgubę czyhać. Niejeden mądry byłby tu już dawno kark skręcił; te pogańskie skurczybyki jeno patrzą, żeby jakiemu chrześcijaninowi łeb uciąć, a mnie, tem głupi, i nikogo nie myślę uczyć rozumu, nic nie robią, nawet, gdy mi już jest tak źle, że wytrzymać nie mogę, sami mnie zawsze ratują. Mądry byłby pewnie przemędrkował, ja przeciwnie nie mogąc sam nic wymyśleć, zdałem się na Boga i na los szczęścia, a choć przypadek wciąż mnie potrąca, jak ludzie psa na jarmarku, to jednak nie jest mi gorzej, niż mi było, a kto wie czy kiedyś nie będzie mi nawet całkiem dobrze. Dziękuję ci Panie Boże, żeś mnie głupim stworzył, i byleś mi dał odrobinę szczęścia, a już ja sobie na świecie poradzę. Dziękuję Ci także, żeś mnie znów nie zrobił aż tak głupim, jak Jędrzej ze Stopnicy, bo tak być głupim jak tamten, znaczy wiecznie trwać w grzechu śmiertelnym... Soliman powiedział, że mnie sprzeda. Dziej się twoja wola, Panie Boże! Zresztą kto wie, czy na tem lepiej nie wyjdę, niż gdybym tu został.

Nie upływał miesiąc, a Pietrasz całkiem się odgryzł. Twarz mu się wypełniła, oko blask odzyskało, łapa zaczęła go świerzbieć po dawnemu i w głowie obudziły się fantazje. Dopoki sił nie odzyskał, jadł za czterech, a spał jak niedźwiedź w jamie, wszakże odkąd się odgryzł, jął stękać, że czynna jego natura nie pozwala mu siedzieć długo na jednem miejscu. Nie bardzo się też zmartwił, gdy razu pewnego usłyszał, że nazajutrz rano pójdzie na targ.

— Kto wie, czy u innego skurczybyka nie będę miał co do roboty — zawołał z dywanu się zrywając — bo że u tego byłbym zgnił z gnuśności, to jak Bóg w niebie!

Pocieszywszy się w ten sposób, pomodlił się gorąco, potem usnął snem sprawiedliwego, i zbudził się dopiero rano z powrozem na szyi. Założył mu go sam Soliman, by w drodze nie usiłował uciekać, a związawszy go następnie z trzema innymi niewolnikami, których tego dnia chciał także sprzedać, popędził wszystkich na targowicę.

Na placu dużym i odkrytym, na którym widać było kilka namiotów z „przednim towarem“, t. j. z kobietami, bądź w szeregach stali, bądź na ziemi siedzieli, powiązani niewolnicy, do pół ciała obnażeni, sami mężczyźni, kupcy zaś przechadzali się krokiem wolnym, szukając takiego towaru, jakiego właśnie potrzebowali. Gdy z nich nareszcie który zdecyduje się na wybór, zbliża się do niewolnika, ogląda go uważnie, opukuje, zaziera w zęby, wyciąga mu ręce i nogi, i dopiero gdy znajdzie wszystko jak pragnie, pyta o cenę. Wtedy sprzedający, zwyczajem kupców wschodnich, podaje cenę niesłychanie wysoką, na co kupujący spokojnie odpowiada, że da trzecią część tego, lub nawet tylko czwartą. Odtąd jedna strona przecenia przymioty towaru, druga je zmniejsza; sprzedający charczy z irytacji, kupujący odpowiada: „Nie wart więcej, bo słaby!“ Pierwszy bije pletnią towar po nagich plecach, by ten w niebogłosy krzycząc, udowodnił złemu człowiekowi, usiłującemu zmniejszyć wartość jego przymiotów, że ma dobre piersi, co drugi przyjmuje z uśmiechem politowania, jakby chciał powiedzieć: „Mnie nie oszukasz! — Kolejno następują po sobie zaklęcia i złorzeczenia, prośby i groźby; nakoniec kupujący odstępuje na znak, że targu nie dobije. Właściciel niewolnika biegnie teraz za nim, chwyta go za rękę, kłania mu się raz i drugi do samych kolan, zaklina go na brodę Proroka, żeby go nie niszczył, a gdy i to nie pomaga, woła głosem serce rozdzierającym:

— Zły człowiecze, bierz już za to, co dajesz!

Interes skończony. Nabywca wylicza z trzosa kwotę ugodzoną i niewolnik przechodzi na jego własność.

Ledwie Soliman zjawił się na targowicy ze swoim towarem, zbliżyły się do niego równocześnie dwie osoby: jakaś kobieta brzydka i stara, która jako taka przestała już nosić zasłonę i Kirgiz z długą brodą, w którym wskazywało wszystko, że musiał być bogaty.

Kobieta stanąwszy przed Pietraszem, zaczęła coś do niego mówić. On spojrzał na nią, wszakże gdy zobaczył, że jest brzydka i twarz ma jak wiedźma, spuścił głowę i nic nie odpowiedział.

Ponieważ pytała go o lata, a on pod tym względem nie zaspokoił jej ciekawości, przeto ona nie wiele myśląc, jedną ręką chwyciła go za nos, drugą za brodę w dół, że Pietraszowi szczęki się rozwarły.

Stara wiedźma nie miała jednak czasu zębów mu obejrzeć, Pietrasz bowiem prędko szczęki zacisnął, odchrząknął i babie w twarz plunął. Mężczyźni śmiechem parsknęli, baba zaś rozwścieczona rzuciła się na niego, by mu zęby wydrapać. Soliman zasłonił go a wiedźmę odtrącił.

— Podoba mi się ten chłop, podoba! — zawołał teraz Kirgiz. — Przecież od tego jest mężczyzną, żeby się nie dał babom poniewierać. Ile chcesz, Solimanie za niego?

Soliman podał cenę wysoką.

— Masz tu pieniądze!

Targ skończył się tak prędko, że Pietrasz wcale nie spostrzegł, kiedy się stał własnością innego pana.

W godzinę po dokonanym kupnie, Kirgiz zabrawszy swego niewolnika, odjechał z nim na północ.

III.

Gdyby Wiszur znał był lepiej te kraje, po których z konieczności teraz podróżował, toby wiedział, że jurta Alego, który go kupił, nie musiała znajdować się daleko od granicy ruskiej lub litewskiej, skoro Seraj opuścili, dłużej niż jeden dzień wciąż jechali w kierunku północno-zachodnim.

W drodze Ali nie odezwał się do niego ani jeden raz, ale mimo to obchodził się z nim dobrze, nawet lepiej niż sam Soliman. Ali miał z sobą trzech ludzi: wyrostka może szesnastoletniego, prawdopodobnie syna, gdyż był do niego bardzo podobny i dwóch chłopów znacznie starszych, brodatych a ponurych. Byli to jego niewolnicy. Kazał on im Pietrasza wziąć między siebie i pilnować, żeby im nie uciekł. Zbyteczna przezorność! Pietraszowi nic podobnego przez myśl nie przeszło, bo nietylko miał pod sobą powolnego osła, który koniom stępo idącym ledwo mógł nastarczyć, (Ali, jego syn i niewolnicy siedzieli na prześlicznych ogierach), on nawet i w takim jeszcze razie nie chciałby uciekać, gdyby miał wszystko ułatwione, gdyż nie znając kraju, w którym się znajdował, nie wiedziałby kędy się zwrócić. Odkąd zaś postradał strój pielgrzyma, a na jego miejsce dostał łachmany, nie mógłby już tak łatwo jak przedtem światem kręcić i za nos wodzić. Rozumia on to doskonale, więc też wolał iść z tym, który go cenił, bo kupił, niż za godzinę wpaść w ręce takiego, który nie przywiązując doń żadnej wartości, pewnie by go zabił.

Trzeciego dnia przyjechali nad dużą rzekę płynącą ku południowi, której płaskie brzegi dotąd się zieleniły. Rosnąca na nich trawa, mimo pory spóźnionej, była jeszcze żywa i bujna. Na niej pasły się liczne stada koni, bawołów, kóz i baranów. Pod nie wielkiem wzgórzem rozsiadł się auł, liczący kilkadziesiąt jurt kirgizkich, w bok zaś, o jakie tysiąc kroków dalej ku rzece, widać było trzy jurty samotne, stojące blisko siebie. Przy nich pasły się stada koni i bawołów. Widocznie była to siedziba jakiejś bogatej rodziny, która w tem ustroniu używała spokoju i dostatków. Ku tym jurtom zwrócił się Ali ze swymi towarzyszami.

Przed pierwszą stali dwaj młodzi ludzie, prawdopodobnie także jego synowie, gdyż wyrostek z konia zsiadłszy czule się z nimi witał; przed drugą klęczał starzec z długą siwą brodą, i w dłonie swoje zapatrzony, tak był rozmową z bogiem zajęty, że tych co przyjechali — całkiem nie widział. Był to ojciec Alego i dotąd pan znacznego mienia. Dopiero trzecia, największa i najokazalsza z wszystkich, należała do Alego. W tych jurtach mieściły się zatem trzy pokolenia. Dziadek, syn i wnuki. Najwybitniejszą jednak osobistością był syn, mężczyzna może pięćdziesięcioletni, nazywany powszechnie „bogatym“ Alim, którego dostatek równał się mieniu całego aułu. Prócz koni i bawołów, kóz i baranów, miał on jeszcze drogie kobierce, kosztowną broń, klejnoty i tyle pieniędzy, że gdyby chciał, toby za nie pół świata kupił. Tak o nim mówili mieszkańcy aułu.

Ali miał jedną żonę, ale ośm niewolnic. Synów dała mu pierwsza, lecz ta przed kilku laty umarła. Wkrótce potem przywiózł sobie drugą z wyprawy wojennej, którą wespół z carem Złotej Ordy robił na północ. Dwaj synowie mieli już żony i osobną jurtę, najmłodszy zaś mieszkał dotąd z ojcem.

Gdy Ali przed swoją jurtą konia wstrzymał, wyszła z niej niewiasta z twarzą zasłoniętą, niska, krępa, o ile z ruchów można było sądzić, młoda i energiczna, i do Alego się zbliżywszy, zaczęła przed nim bić pokłony. On dotknął się jej ramienia i coś jej szepnął. Na to ona w rękę go pocałowała i raz jeszcze skłoniwszy się mu głęboko, wróciła do jurty. Za chwilę wszyscy za nią tam weszli.

Jurta była okrągła, przestronna i dość wysoka, podobna do kopuły bizantyńskiej. U jej szczytu znajdował się otwór, przez który dym się ulatniał. Na zewnątrz pokrywały ją grube płachty ciemnego filcu, powiązane od frontu różno-kolorowemi sznurami, wewnątrz, ponieważ Ali miał dużą fortunę, była w koło obwieszoną perskiemi i tureckiemi dywanami, na których rozmaita broń wisiała. Szkielet jurty był sporządzony z drzewa, zakrzywionego u góry, skutkiem czego całość otrzymała kształt kulisty.

W pośrodku wisiał nad ogniskiem kociołek miedziany, w którym warzył się „piław“, ryż z baraniną; obok niego siedział niewolnik i na rożnie żelaznym piekł barana, powoli go obracając. Zapach mięsa świeżego, rozlewał się w koło, mile łechcąc podniebienie. Na prawo od wejścia, wisiała kotara z kilku dywanów zszyta, za którą mieszkał gospodarz z żoną i innemi niewiastami. Syn i niewolnicy spali po stronie przeciwległej, wzdłuż okrągłej ściany. Zwierzęcia nie było w jurcie żadnego, krom dwóch psów kudłatych, sypiających u wchodu i pełniących obowiązki stróżów. W porównaniu z mieszkaniami innych Kirgizów, gnieżdżących się pospołu ze swemi zwierzętami jurta Alego była wzorem czystości, ładu i wygody.

Dobytek Alego przez całe lato pasł się na stepie, w pobliżu rzeki i tam nocował. Dopiero gdy zima nastała, lecz to rzadko się zdarzało, częściej była tu zima ciepła i łagodna, szedł on do szałasów z trzciny i sitowia, które w dwóch rzędach stały za jurtą.

Nazajutrz po powrocie do domu, Ali wyprowadził Pietrasza w step, a pokazawszy mu stado koni, w te słowa doń przemówił:

— Od dnia dzisiejszego, masz razem z pastuchami doglądać tego oto stada, w którem, jak widzisz, znajdują się same matki ze źrebiętami. Jeżeli będziesz pilnym i sumiennym, zrobię cię starszym i pastuchy będą ciebie słuchali, w razie zaś gdybyś się zaniedbywał, musiałbym ci dzień w dzień odliczyć choć sto nahajek, a gdyby i to nie pomogło, kazałbym cię w końcu powiesić.

Pietrasz słuchając skrobał się za ucho. Gdy pan jego skończył, odkrząknął i tak odpowiedział:

— Bądźcie spokojni, Ali! Ja lubię konie, będę tedy i waszych strzegł jak oka w głowie i pewnie z nich żadnemu krzywdy nie zrobię. Miałem i ja niedawno ślicznego mierzynka (a jaki był dobry, tylko do rany go przyłożyć), lecz ten, niestety, tam już poszedł, zkąd ani ludzie ani zwierzęta nie wracają. O konie, Ali, nie potrzebujecie się więc troszczyć i byleście mi dawali jeść mięso, nie samą trawę, abym miał siły, to już ja się mojej roboty nie powstydzę.

Pietrasz mówił szczerze. Koń był stworzeniem, z którem najchętniej obcował i do którego całą duszą się przywiązał.

Zresztą czyż w niewoli mógł marzyć o przyjemniejszem zajęciu, niż gdy będzie doglądał tego stada rozkosznego, którego Alemu pozazdrościłby sam nawet ks. Witold?

Ledwie więc usłyszał, co do niego będzie należało, poszedł zaraz w środek stada, by, jak mówił, poznać bliżej swoich przyjaciół. W kilka dni już wiedział, jak się każda klacz nazywała, a w miesiąc potem biegły do niego wszystkie źrebięta na zawołanie. Cieszyło go to niezmiernie, a nie mniej i Alego, który stosownie do przyrzeczenia, zrobił go za tę wierną służbę przełożonym nad pastuchami.

Gdyby Wiszur nie miał innego celu, jak żyć w niewoli, to niewątpliwie błogosławiłby godzinie, w której go Ali kupił. Jadł przecie dobrze, spał ile sam chciał, zajęcie miał przyjemne i nie mozolne, pan zaś jego takiem go obdarzał zaufaniem, że mu nawet pozwalał konie ujeżdżać, czem go uszczęśliwił. Często więc z pozwolenia korzystał i ilekroć dzikiego tabuna dosiadł, szedł zawsze o lepsze z synami Alego, którzy na stepie nie mogli go nigdy dopędzić.

Życie płynęło mu więc dość przyjemnie, lecz jaki był jego cel?

Z początku odtrącał to pytanie, lecz po niejakim czasie duch jego zaczął je sobie coraz częściej zadawać, w końcu przyszło nawet do tego, że o czem innem nie mógł wcale myśleć. I wtedy się przekonywał, że dobre jadło i życie bez ciężkiej pracy nie uszczęśliwiają jeszcze człowieka.

Choć nie był orłem, zapragnął jednak swobody, a równocześnie sumienie zaczęło mu wyrzucać, że myśląc o czem innem, zapomniał o tem, co go do Kipczaku sprowadziło.

Na to skruszony odpowiadał, że tego co się stało nie potrafiłby odwrócić, do niewoli bowiem dostał się przymusem, wszelako sumienie nie chciało uznać tego tłumaczenia i tem surowiej wołało:

— Człowiek nie jedno może, gdy chce! Wszak nie święci garnki lepią, jeno ludzie. Inni wydobywali się nie z takiej niewoli, rwali kajdany i mury rozbijali, a przed tobą świat stoi otworem... Chciej więc tylko, a dokonasz!

— Chcę, chcę! — wołał Pietrasz zawstydzony i na step wybiegłszy w koło się rozglądał.

Świat w rzeczy samej był otwarty, potrzebował tylko skoczyć na jednego z tych koni, których miał tyle, a wiatr nie dopędziłby go, zresztą pod osłoną nocy ucieczka udałaby mu się nawet bez wielkiej trudności. Lecz co potem? Oto sęk, o który rozbijała się czaszka jego, mimo że była twarda. Uciec potrafi, lecz co potem zrobi? Jeśli się puści w głąb Kipczaku, niewątpliwie go schwycą i wtedy albo mu łep utną, bądź też drugi raz zaprzedadzą w niewolę. Należało więc wybrać drogę inną i kierować się więcej na północ.

Od pastuchów słyszał, że o dzień jazdy za rzeką, zaczynały się ziemie obce, nie należące do złotego cara, w których acz rzadko, chrześcianie mieszkali. Kto jak Wiszur, nie znał trwogi, ten mógł przez rzekę, mimo iż była rwąca i głęboka, przeprawić się na koniu i do swoich się dostać; lecz czy po to z Melsztyna wyjechał, żeby po roku wracał z próżnemi rękoma? Ach! gdyby choć Jerzego tam nie było!... Jednakowoż w ostateczności należało to drugie wybrać, boć zawsze lepiej wrócić do domu choćby ze wstydem, niż być niewolnikiem i także wstyd znosić. Ponieważ właśnie zaczęła się słotna pora roku, skutkiem czego step zrobił się grzązki a rzeka niezmiernie wezbrała, przeto plan ucieczki odłożył na wiosnę, teraz zaś postanowił jeszcze czekać, zwłaszcza że głos wewnętrzny wciąż mu powtarzał, iż nieba łaskawe pewnie go nie opuszczą.

Ali był z natury małomowny, lecz mimo to gdy wieczorem wszyscy mieszkańcy jurty dokoła ognisk usiedli, lubił czasem opowiadać, co widział lub słyszał, najchętniej zaś opisywał wyprawy wojenne, w których za młodzieńczych lat brał udział. Łatwo się domyśleć, że choć Kirgizi zbytnią odwagą nie grzeszą, on jeden dokazywał cudów waleczności, za to też ci, co z nim razem byli na wojnach, poczytywali go za pierwszego bohatera. Ilekroć dotknął tego przedmiotu, natychmiast najmłodszy syn jego z jurty się wymykał i spieszył po braci, którzy przychodzili bądź sami, bądź z żonami i z dziećmi, aby słuchać opowieści o wielkich czynach swego ojca. Często gęsto zjawiał się także stary dziadek, boć i on odbył z Alim nie jedną wyprawę, i nie jednego giaura zabitego przez Turków lub Tatarów na pobojowisku obrabował.

Raz gdy mieszkańcy wszystkich trzech jurt usiedli dokoła ogniska, kobiety zajęły miejsca po jednej stronie, mężczyźni po drugiej, wtedy Ali z namaszczeniem w te słowa przemówił:

— W ciągu lat trzydziestu nie raz, jak wiecie, byłem na wojnie, i nie jedna strzała koło ucha mi świsnęła, lecz nie pamiętam bitwy ani większej, ani krwawszej od tej, którą z giaurami stoczyliśmy nad Worsklą.

Pietrasz szybko podniósł głowę i uszy nastawił. Wzmianka o bitwie, w której on brał udział z ukochanym wojewodą, tyle i tak gwałtowne obudziła w nim wspomnienia, że nie mogąc uczuć swoich hamować, przysunął się do Alego, i czołem przed nim uderzywszy, w te słowa przemówił:

— Wielki mężu! Tyś był nad Worsklą? Tyś walczył i zwyciężył? A wszak tam jaśniała także gwiazda świata chrześcijańskiego, książę litewski Witold, którego sława zgasła jednak w cieniu waszych strzał zwycięzkich! Byłem ci i ja nad Worsklą, bo mi na was gwałtem kazano iść, podziwiałem tam wasze męztwo niezrównane, lecz stokroć prędzej byłbymsię śmierci spodziewał, niż że kiedykolwiek w życiu, ja nędzny niewolnik, spotkam męża wielkiego serca, głębokiego rozumu i ręki niezwyciężonej, który w owym dniu pamiętnym okrył się sławą nieśmiertelną!

Pietrasz wypowiedział to jednym tchem, i tak się zmęczył, że się aż zasapał. Choć mówcą nigdy nie był musiał jednak stosownie do zwyczajów na Wschodzie przyjętych, temu, do którego się zwrócił, powiedzieć kilka słów pochlebnych, bo inaczej wszystkich by obraził. Im grubsze zaś było pochlebstwo, tem większej mógł się za nie spodziewać łaskawości. Ali wcale się nie rozgniewał, ale, że niewolnik nie pytany pierwszy doń przemówił; owszem spojrzał nawet na niego z uśmiechem i w te słowa odpowiedział:

— Tak jest, byłem pod Worsklą, gdyż w tym wielkim dniu, byli tam wszyscy wojownicy Złotego cara Kipczaku, i jeźlim przyczynił się do zwycięztwa, zasługa w tem nie tyle moja, co Ałaha, który dla dobra i na sławę prawowiernych wyznawców Proroka, kierował mojem ramieniem. Psy niewierne myślały w swojej pysze djabelskiej, że długiemi dzidami zmiotą nas z powierzchni ziemi, tymczasem nie oni nas, ale myśmy ich pokonali! Większa połowa giaurów legła na stepie, ledwie dziesiąta część uciekła za rzeki i w lasach się ukryła. Gdy nazajutrz szedłem przez pobojowisko, taka na nim leżała mnogość zabitych ludzi i koni, i tyle zbroi kosztownej w kurzu się walało, że gdyby nasz car chciał był wtedy wszystko uprzątnąć, musiałby na to jedno najmniej pół roku stracić. A on miał coś ważniejszego do czynienia, bo ścigał uciekającego nieprzyjaciela. Zabitych zostawiliśmy tedy wilkom i sępom na pożarcie, rannych dobiliśmy, by się nie męczyli, a zabraliśmy jeno broń, rynsztunki, suknie, klejnoty i pieniądze, w które wasze rycerstwo było bardzo zasobne, poczem każdy dobrze obładowany wrócił do domu.

— Wy wielki Ali, idąc za radą nieskończonej swojej mądrości, musieliście się także dobrze obłowić! — przerwał Wiszur.

— Nie bardzo... wtedy byłem jeszcze zbyt młody, a więc głupi. Starsi zabrali mi z przed nosa co najlepsze... ale mimo to nie skarżę się, gdy przy pomocy Ałłaha zebrało się jeszcze trochę zbroi i klejnotów. Szczególnie podobała mi się jedna tarcza, którą mam do dziś dnia. Koło południa przyszedłem na pewne miejsce, gdzie razem leżało najmniej stu zabitych. Między nimi było ledwie kilku giaurów, reszta sami wierni. Zapewnie zginął tu jakiś wielki mąż — pomyślałem — skoro te psy tak bardzo go broniły! a ponieważ kto jest wielki, jest także bogaty, przeto między leżącymi zacząłem zaraz tego szukać, o którego bój się toczył. Znalazłem go w samym środku. Choć kilka strzał tkwiło w jego piersi i boku, żył jeszcze, bo oddychał i oczami zawracał, ale nie miał już na sobie ani pancerza, ani hełmu, ani miecza; snać byli przedemną inni, którzy mu to zabrali. Z wszystkiego została mu tylko tarcza, na której leżał i pierścień na palcu. Gdym nad nim stanął, widziałem, że usiłował się dźwignąć, aby się może bronić, lecz nie mógł. Aby mu się drugi raz takich rzeczy nie zachciało, ciąłem go szablą w łeb i rozbiłem mu czaszkę, potem nogi kopnięciem z tarczy go zrzuciłem. Piękna tarcza i kosztowna, pełno na niej złota i drogich kamieni. W Seraju chciano mi za nią dobrze zapłacić, pewien kupiec z Indyi przybyły, ofiarował mi aż sto rupii, ale Ałłah dał mi dość pieniędzy, za mało dotąd trofeów, więc też wolałem ją sobie zostawić na pamiątkę. Kiedyś gdy umrę — dodał Ali do najstarszego syna się zwracając — otrzymasz ją po ojcu w spuściźnie, a pierścień, dostanie twój brat.

— Ałłach jest wielki! — odpowiedzieli na to synowie.

— Więc zabraliście mu i pierścień? — Wiszur zawołał, przyczem tak dziko wpatrzył się w Alego, że zdawało się, jakby go chciał pożreć.

— Wziąłem, oto ten! — odpowiedział Ali, prawą rękę do ognia podnosząc. Na palcu wskazującym jaśniał podłużny pierścień złoty z kamieniem zielonym, na którym musiało być coś wyryte, skoro jego powierzchnia wcale się nie szkliła.

Wiszur poruszył się gwałtownie, jakby się chciał na pierścień rzucić; wczas jednak opamiętał się i na dawnem miejscu został; lecz że taki przymus był jego naturze przeciwny, przeto z wielkiej irytacji zaczął cały dygotać i zębami dzwonić. Ten i ów spojrzał nań ze zdziwieniem, ojciec zaś Alego gniewnie zapytał:

— Co ci jest, psie niewierny?

— Trzęsę się ze strachu przed waszym wielkim synem! — odpowiedział szczękami kłapiąc. — O mężu, jak on sławnym, będą jeszcze wnuki i prawnuki z drżeniem wspominały.

— Dobrze masz, psie, że się trzęsiesz! — rzekł starzec. — Kto się trzęsie, ten się boi, a kto się boi, ten się na wyznawców Proroka pewnie nie porwie! Gdyby giaurzy trzęśli się byli przed Worsklą, nie byliby tam marnie jak psy wyginęli. Ale ich pycha była równie wielka, jak grzeszne jest ich serce a zły język, i dla tego Ałłah ich wygubił.

— Bóg jest wielki! — obecni chórem zawołali.

W jurcie zapanowało teraz milczenie. Płomień z pod kociółka buchający, oblewał krwawym blaskiem siedzące w koło postacie. Kirgizi mieli fizjognomie zaciekawione; Ali spoglądał jak tryumfator. Na niego też każdy teraz oczy zwrócił, krom jednego Pietrasza, który swoje przymknął, by się czem nie zdradzić. Kobiety wpatrując się w Alego, przebijały wzrokiem płomienistym gęste zasłony spoczywające na ich twarzach. Między niemi szczególnie jedna, a była to żona Alego, rzucała przenikliwe spojrzenia to na męża, to na Pietrasza i chciwemi uszami każde słowo chwytała.

Gdy długa chwila ubiegła, a nikt nie przemówił, wtedy Wiszur odwagę zebrawszy, z wymuszonym spokojem w te słowa się odezwał:

— Wielki Ali! Bohaterskich czynów waszych nie mogliśmy należycie ani ocenić, ani zapamiętać, jeźlibyście nie raczyli pokazać nam owej tarczy, którą w sposób równie waleczny jak mądry zdobyliście na pobojowisku. Wasz wielki ojciec musiał ją już oglądać, tak samo wasi synowie, których sława będzie kiedyś rozbrzmiewała po wszystkich krańcach świata, lecz my, niewolnicy, nędzne robaki i kurz waszego obuwia, nie dostąpiliśmy nigdy tego szczęścia. Ulitujcie się więc nad nami, wielki Ali, i nie żądajcie, byśmy marli z ciekawości!

Przemówienie Wiszura tak się Alemu podobało, że nie namyślając się, powstał, i udał się za kotarę, zkąd wyniósł tarczę starannie w dywan owiniętą. Gdy przed ogniskiem stanął, zrzucił z niej dywan.

— Oj! — jęknął Wiszur oburącz za oczy się chwytając.

— Co ci jest, gdie? — starzec ponownie się zapytał.

— Nic, nic, boję się tylko bym nie oślepł, bo straszliwy od niej blask bije.

Pietrasz nie wiele przesadził. W pośrodku tarczy widać było jakieś znaki złote, a poniżej słońce także szczerozłote. Prócz tego na jej czterech rogach jaśniały w kształcie krzyżów drogie kamienie, między ktoremi znajdowały się brylanty wielkości orzechów laskowych. Tarcza była podłużna, a tak wielka, że mogła zasłonić człowieka od głowy do kolan.

Wiszur odjął powoli ręce od oczu i jak ten co się boi lub sobie nie dowierza, spojrzał znów na tarczę. Teraz źrenice bardzo mu się rozszerzyły, twarz pobladła a usta zaczęły dygotać.

Choć Ali i jego synowie głośno rozmawiali, on ich nie słyszał. Co się w jego duszy działo, nie można było odgadnąć; on sam nie był także w stanie pozbierać swoich myśli.

Wyglądał jak człowiek zdumiony lub jak ten, który się boi, by obraz migocący mu przed wzrokiem nie rozpłynął się jak senne marzenie i żeby w sercu nie zostawił goryczy rozczarowania.

Wpatrywał się zatem w niego długo, uporczywie, a gdy nareszcie Ali tarczę wyniósł za kotarę, znów twarz zasłonił i dumał.

Niedługo potem w jurcie wszyscy spali, Pietrasz zaś, mimo że na dworze lało jak z cebra, pobiegł do stada i tu na ziemi usiadłszy, zaczął do siebie mówić szybko:

— Chryste Panie! i ty święty Pietrze! ratujcie mnie, a dobrze, żebym nie zwarjował! Jak mi tarczę pokazał myślałem doprawdy, że oślepnę... Wszak to ta sama! ta sama! Pamiętam doskonale, żem ją czyścił na dzień przed tą bitwą nieszczęsną... W środku Leliwa, pod spodem słońce na znak panowania nad Podolem... Chryste Panie! przecie dożyłem tej chwili! I niech kto teraz powie, że głupim Bóg się nie opiekuje... Zginął mój wojewoda, zginął, ale dobrze, że przynajmniej wiem, iż nie żyje... Biedaczysko ranny był, jeszcze patrzył i oddychał, a ten pogański skurczybyk dobił go nikczemnie! Poczekaj psubracie, będziesz ty się za to smażył po śmierci w smole kipiącej. Jeszcze ja się tego doczekam, że żywcem z ciebie skórę ściągnę, a potem djabłu oddam twoją duszę. Ten skurczybyk kopnął nogą wojewodę!.. Kopnę ja kiedyś i ciebie, ale wtedy pewnie kiszki ci wypruję. Ten psubrat nawet nie wie, że miljon takich jak on jeszcze za mało za jednego Spytka z Melsztyna. O! Panie Jezu Chryste, wspieraj mnie, bym nie zwarjował, bo doprawdy zaczyna mi się w głowie mącić... Byłem do jutra szczęśliwie doczekał, już ja potem dam sobie radę... Ratuj i ty mnie święty Pietrza, boś przecie od tego mój patron, a skoroś Pietrasze bez jego przyczynienia się tu przyprowadził, wywiedź go więc z niewoli, ale nie z gołemi rękami, aby komes miał dowód, że on tu nie próżnował. O! wszyscy święci, ratujcie mnie, ratujcie!

IV.

Od tej nocy Wiszur bardzo się zmienił. Osowiał, ludzi unikał, mało jadł, sen mu od powiek odbiegał, zrobił się zgryźliwy, pastuchów, których miał pod sobą, częściej niż dawniej za uszy targał, ilekroć zaś przyszedł do jurty siadał zawsze naprzeciw zasłony, za którą była tarcza ukryta, i wpatrując się w nią, był gotów całą noc tak strawić. Kirgizi nie zwracali na to uwagi. Im jedynie na tem zależało, by giaur spełniał swoje obowiązki, a że pod tym względem Wiszur był sumienny, przeto o jego humor nikt nie pytał.

Niewiasty przechodziły zawsze obok Pietrasza z głową ku ziemi schyloną i nie było wypadku, żeby która na niego spojrzała. Był przecie stary i brzydki, a na domiar złego niewierny. Wyjątek między niemi stanowiła sama tylko żona Alego. Ta ilekroć się z nim zeszła, wlepiała weń zaraz dwoje ciemnych źrenic, a wtedy prędzej on oczy spuszczał niż ona. Raz czy dwa zdarzyło się nawet, a było to wtedy, gdy prócz nich dwojga w jurcie nikogo więcej nie było, że nawet postąpiła ku niemu, jakby chciała przemówić. Wstrzymała się jednak i odeszła, wszakże nim za kotarą zniknęła, rzuciła mu jeszcze jedno z tych spojrzeń długich a przenikliwych, od których włosy na głowie mu stawały. Bo czyż nie wiedział, coby go spotkało, gdyby Ali lub ktokolwiek inny schwytał go na rozmowie z tą kobietą? Aniby spostrzegł, kiedyby mu głowę ucięli. Piękne widoki, zwłaszcza teraz, gdy szczęśliwie stanął u celu! Prócz tego Pietrasz, jak to zresztą sam o sobie chętnie utrzymywał, był mężem religijnym i wielce cnotliwym, nie gorszym od biblijnego Józefa, który wzgardził wdziękami Putyfary, a którego historji uczono go w nowicjacie u OO. Franciszkanów. Że z żoną Alego tak samoby postąpił, o tem wcale nie wątpił, dość mu bowiem było spojrzeć na obrzydliwe twarze Kirgizów, by przypuścić, że ich niewiasty są jeszcze wstrętniejsze. A gdyby ją odtrącił, coby nastąpiło? Oskarżenie i śmierć, po niej prawdzie wieniec męczeński, może nawet aureola świętego, lecz do tego Pietrasz jeszcze nie wzdychał. Rozkosze niebiańskie — mówił poufnie swemu patronowi — zachowaj mi święty Piotrze dopiero pa najdłuższem życiu, bo zawsze to lepsze, co już mam, niż to, czegom dotąd nie zasmakował, tu zaś na ziemi pozwól mi szczęśliwie tego doczekać, czegom się podjął. Skorom do brzegu dopłynął, nie dopnść więc, bym przy nim haniebnie utonął.

Istotnie dopłynął już do brzegu. Tak dobrze jak tarcza, był wojewody i ów pierścień z zielonym kamieniem, który Ali przy świetle poka-

zywał. Pietrasz nie mógł mu się wtedy przypatrzeć, lecz udało mu się to zrobić innym razem. Gdy dnia pewnego Ali przyszedł, jak według zwyczaju, stado obejrzeć, Pietrasz zaczął mu długo i szeroko opowiadać o tych ludziach, którzy w jego krajach wróżą z ręki. Kirgiza bardzo to zajęło, zapytał więc niewolnika, czy przypadkiem nie jest i on biegły w tej sztuce.

— Biegłym nie jestem, ale trochę się na niej znam, bom kilka lat mieszkał u pewnego znachora, którego sława rozchodziła się po wszystkich naszych ziemiach.

— Skoro tak, więc wróż! — rzekł na to Ali, lewą rękę podnosząc.

— Z lewej nie można, jeno z prawej — zauważył Wiszur, i nie czekając aż mu ją Kirgiz poda, sam go za nią ujął. Jakiś czas trzymał ją dłonią na dół i zdawał się coś bystro śledzić.

Na palcu wskazującym jaśniał złoty pierścień z zielonym kamieniem, na którym był misternie wyrznięty herb Leliwa. Wojewoda kazał go wyciąć swego czasu pewnemu złotnikowi w Krakowie, który tamże aż gdzieś z Wenecji przyjechał. Wiszur tak się zapatrzył, że ani pomyślał o tem, czego Kirgiz od niego żądał.

— A cóż, psie, będziesz wróżył, czy nie? — Ali nareszcie zapytał.

— Nie dziwcie się, wielki Ali, żem języka w gębie zapomniał, ale kto ujrzy taką rękę jak wasza, ten musi zgłupieć. Długo już żyję, lecz podobnej dotąd nie widziałem. Strach, ile na niej linij prostych i krętych, a jaka wypukłość na środku! wątpię czy sam car Złotej Ordy ma podobną....

— Wróż tylko, wróż! Zobaczymy, czy się wszystko sprawdzi.

— Te linie kręte znaczą, że i życie będzie się wam kręciło, ale później pójdzie ono linią prostą na ten oto pagórek, — czyli mówiąc jaśniej, dostaniecie się na szczyt prawdziwej wielkości. Wtedy nie będzie wam równego na świecie.

Uśmiechnął się na to Ali i zapytał:

— A długo będę żył?

— Do samej śmierci. Nie tak — szybko się poprawił — chciałem raczej powiedzieć, że nie umrzecie aż do chwili, póki was Ałłah do siebie nie powoła, a że na ziemi jesteście mu potrzebni, więc i życie wasze będzie jeszcze długie, bardzo długie.

Pietrasz puścił rękę, z której tak znakomicie przyszłość odgadł i półgłosem rzekł do siebie:

— Będziesz żył, skurczybyku, póki cię djabli nie wezmą. Ja się jednak przy pomocy mego patrona o to postaram, żeby to prędko nastąpiło. Jego tarcza i jego pierścień!... Boże! jakiś Ty dobry i mocny!...

— Co tam mruczysz pod nosem? — Ali zapytał.

— Modlę się za wasze zdrowie!

— Módl się, a jeśli się sprawdzi, coś przepowiedział, dam ci jurtę, stado baranów i wolnością cię obdarzę.

To powiedziawszy, odszedł. Pietrasz wzrokiem go odprowadzał.

— Przyrzekasz mi kiedyś wolność, jak gdybym ja jej sam nie mógł zaraz wziąć, gdybym jeno chciał. Proś lepiej swego Proroka paskudnego, żeby ci twojej nie zabrał. Co zrobię, jeszcze nie wiem, lecz że koniecznie muszę coś zrobić, to jak dwa a dwa cztery, bo inaczej z rozpaczy trzebaby mi się zaraz powiesić, a to, szczerze wyznaję wcale mi się nie uśmiecha.

Odtąd Wiszur dniem i nocą myślał o pamiątkach po wojewodzie, a że były dobrze strzeżone, więc usiłował ułożyć plan, mogący mu obie w ręce oddać. Nie było jednak łatwo coś praktycznego wymyśleć. Gdyby miał przy sobie choć kilku takich jak sam silnych i zdeterminowanych, nie zląkłby się rodziny Alego z całym nawet aułem, ale sam jeden, czy mógł się na stu ludzi porywać? Rzucić się zaś lekkomyślnie na wielkie przedsięwzięcie, a nie dokonać go, znaczyło tyle, co sprawę raz na zawsze zgubić. Zrozpaczony pytał się w duchu, czy przedmiotów, których pożądał, nie mógłby zdobyć podstępem? Próżne marzenie! Tarcza wisiała zawsze za kotarą, pod strażą samego gospodarza i jego niewiast, pierścień zaś spoczywał bez przerwy na jego palcu. Choćby więc tarczę udało mu się wynieść cichaczem, to jeszcze zostawiłby pierścień, klejnot familijny, mający dla syna nieboszczyka większą wartość od tarczy.

Co robić? Co robić?

Tak pytał po sto razy na dzień, a choć co chwila nowe plany układał, dotąd żadnego nie wykonał. Wiszur umiał być chytry, lecz zdarzało się to jedynie wtedy, gdy go co niespodziewanego zaskoczyło; wówczas mówił i działał jakby pod wpływem obcej woli i siły; planu wszakże chytrego nie był w stanie naprzód ułożyć, zwłaszcza, jeżeli nie miał być rychło wykonany, bo ledwie mu się w głowie jaki zarysował, wnet go odrzucał, nie wierząc w jego praktyczność.

W tem utrapieniu minęła zima i pierwsze promienie słońca wiosennego ziemie ogrzały. W koryto rzeki gdzieś z północy nadpłynęły grube lody, które fala do morza poniosła, na stepie trawa się zazieleniła, powietrze napełniło się śpiewnym ptactwa rozgwarem, konie biegnące na paszę rżały radośnie, bawoły głośnym rykiem witały słońce wschodzące, ludzie mieli twarze weselsze, wszystko zbudziło się do życia i szczęścia. Wszystko, krom jednego Pietrasza. Ten jeszcze bardziej osowiał. Dopóki była zima, usprawiedliwiał swą bezczynność tem, że o wykonaniu jakiegokolwiek planu mowy wtedy być nie mogło, ponieważ żaden koń nie niósłby go przez step rozmokły, ani nie przepłynąłby z nim rzeki, mającej pół mili szerokości.

Tak tłumaczył się w zimie, lecz co miał teraz powiedzieć? Step w oczach wysychał, rzeka przestała huczeć i zrobiła się węższa, trudności niemożliwe w zimie do pokonania całkiem ustąpiły, a mimo to siedział on na dawnem miejscu i dotąd ani ręką nie ruszył.

Po niejakiem czasie przyszło nawet do tego, że zupełnie zwątpił o sobie, a wtedy nie pozostało mu nic jak tylko modlić się i prosić Boga o natchnienie.

Razu pewnego, skorzystawszy z chwili stosownej, gdy w jurcie nikogo nie było, padł przed kotarą, za którą jego skarb się ukrywał i jął modlić się głośno w ojczystej swojej mowie.

— O! Panie Jezu Chryste! i Ty kochany mój Patronie spojrzyjcie z wysokości na mnie, grzesznego biedaka, i wspomóżcie mnie w tem ciężkiem utrapieniu. Wybawiliście przecie paskudnych żydów z niewoli babilońskiej i Jonasza z paszczy wieloryba, i Dawida z jaskini lwów i Zuzannę z kąpieli, czemuż więc tylko ja jeden, Pietrasz Wiszur, dworzanin potężnego Spytka na Melsztynie, dobry chrześcjanin i katolik, mimo że mnie Mahmin z turecka ustroił, czemu, pytam ja jeden, choć w was wierzę, miałbym koniecznie ginąć między tymi tu plugawymi poganami! A zginę niewątpliwie, gdyż bez tarczy i pierścienia nieboszczyka wojewody pewnie się ztąd nie ruszę, choćbyście nawet sami tego chcieli. Radbym coś przedsięwziąć, a nie wiem co... Jeżeli mnie nie poratujesz święty Patronie, sam pewnie nic nie wymyślę, choćby mi mózg do ostatniej kropli wysechł w czerepie. Ale dla Ciebie, święty Pietrze, któryś od jednego zamachu Malchusowi ucho obciął, nie trudna bo rzecz wspomódz takiego, jak ja, charłaka. Spuść jeno w nieprzebranem swojem miłosierdziu zarazę na tych skurczybyków, żeby to psiarstwo jednej nocy szczęśliwie wyzdychało, a już ja sobie potem sam dam radę. Zabiorę tarczę i pierścień, siądę na tę siwą kobyłę, za którą całe stado chodzi, a potem niech szukają wiatra w polu. Nim mnie znajdą, będę pewno w Melsztynie. O! Panie Jezu Chryste! o! święty Pietrze! zmiłujcie się nademną grzesznym i niech imię wasze będzie błogosławione po wieki wieków, Amen!

To powiedziawszy, kornie głowę schylił i zaczął bić się w piersi. Tak był modlitwą zajęty, że nie spostrzegł jak kotara się odchyliła, i jak przed nim stanęła żona Alego z twarzą odsłoniętą. Usłyszał dopiero, gdy doń przemówiła:

— Mniej się módl, bałwanie, a więcej rób!

Podniósł głowę, ale ledwie ujrzał oczy okrągłe, które już tyle razy w życiu weń się wpatrywały, padł plackiem na ziemię.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! — jęknął.

— I ja go chwalę, ośle! — odpowiedziała głosem grubym, męzkim. — Podnieś lepiej łeb i przypatrz mi się dobrze, przeciem nie taka straszna, jak ci się to może zdaje. Znasz mnie nie od dziś... Teraz nadstaw uszy i milcz. Nieraz słyszałam coś do siebie mruczał i jakie masz zamiary... Chcę ci dopomódz, bom i ja chrześcianka, wierzę w Boga ukrzyżowanego... ten przeklęty poganin zabrał mnie przemocą z Rusi, która leży tam. za rzeką... Będziesz więc miał, o co Boga prosisz, ale pamiętaj trzymać język za zębami, abyś się czem przedwcześnie nie zdradził. Gdy wszystko przygotuję, sama ci dam znać. A teraz idź do swojej roboty, żeby cię Ali nie zastał tu ze mną!

Spojrzał na nią. Była to niewiasta młoda, ledwie dwudziestokilkoletnia, nie brzydka, choć surowego oblicza, i niezmiernie do owej Tereski podobna, której obraz prześladował go i straszył od sześciu lat. Mówiła także dziwnie, niby po niemiecku a niby po polsku. Czyżby to więc była ta sama? Zaprzysiądz by tego nie mógł, bo ją strój zmienił, zresztą tak mu teraz zaczęło szumieć w uszach i tak wszystko w koło tańcowało, że nie był w stanie ani trzeźwo myśleć, ani jasno widzieć. Aby wybrnąć z ciężkiego położenia, chciał coś przemówić, lecz ona ruchem energicznym kazała mu bezzwłocznie wyjść z jurty i sama za zasłoną zniknęła.

Pietrasz uradowany popędził do stada i tegoż dnia nikt go już nie widział. Jak się cieszył i jak Bogu gorąco dziękował, tego ani żaden język nie wysłowi, ani żadne pióro nie opisze. Znalazł więc istotę, która przyrzekła mu dopomódz, a czy to była dzika Tereska, czy jaka inna, mało go obchodziło. Widocznie święty Piotr ją tu sprowadził, by poratowała jego ulubieńca. Zresztą w owym wieku pełnym przygód i awantur, ludzie spotykali się nieraz w ciągu jednego roku na dwóch przeciwnych krańcach ziemi i nikogo to nie dziwiło, ponieważ wierzono nietylko we wszechmoc Boga, lecz także w potęgę złego ducha!

Minęło dni kilka bez ważniejszego zdarzenia, wreszcie raz nad wieczorem żona Alego dała mu tajemny znak ręką, żeby za nią wszedł do jurty. Ali wraz z niewolnicami był o tej godzinie na stepie. Gdy przed nią stanął, położyła mu palec na usta i rzekła cichym głosem:

— Jutro przed północą bądź gotów! Nim kogut pierwszy raz zapieje, zbliż się tu, do jurty, będę już miała wszystko, czego potrzebujesz... Pamiętaj tylko trzymać w pogotowiu siwą kobyłę... Nim świtać zacznie będziemy daleko za rzeką. Żebyś mi się tylko nie bał, bobym ci łeb roztrzaskała!

— Więc i wy chcecie ze mną uciekać? — zapytał zdziwiony.

Patrzcie na tego słonia! Jemu się zdaje, że ja to robię dla jego pięknego nosa. Przecie mówiłam ci, bałwanie, że między tem tu plugastwem żyć mi niepodobna.

— Bardzo dobrze, lecz jak wy to wszystko zrobicie?

— To już moja rzecz! Wiedz, że łatwiej można ustrzedz, by z miski pchłami napełnionej ani jedna nie wyskoczyła, niż żeby baba nie postawiła na swojem, gdy jej się czego zechce. Pamiętaj tylko o tem, com ci powiedziała, a o resztę nie pytaj.

— A pierścień będzie?

— Będzie — odpowiedziała — chyba że ja wpierw zginę!

— Na litość boską, nie róbcie tego głupstwa! O tem jeszcze czas będzie myśleć.

— Wracaj teraz do koni i nakarm dobrze siwą kobyłę.

— Idę, idę, a was niech tu Bóg strzeże — odrzekł.

Wiszur wybiegł na step i nie obejrzawszy się ani raz, udał się prosto do stada.

Resztę dnia, noc i cały dzień nastepny spędził w bezustannej gorączce, która go trawiła. Nie mógł ani spać, ani jeść, usta miał spalone, język suchy, co chwila pił wodę a pragnienia nie mógł ugasić, w żyłach coś go szarpało, nogi uginały mu się w kolanach, nawet serce biło mu niespokojnie.

Odkąd żył, nie pamiętał takiego rozstroju. Ale bo też odkąd żył, nie był w takich opałach. Uderzyć bojem wstępnym, aby zwyciężyć lub zginąć, byłoby dlań drobnostką, boć od dziecka był do tego przyzwyczajony, ale robić wyprawę po nocy jak złodziej i robić ją tak, żeby koniecznie życie ocalić, było dla niego czemś tak niezwykłem i trudnem, że nie wiedział, jak z tego wybrnie.

W wysokim stopniu i to go także niepokoiło, że wszystkiem kierowała białogłowa. Wiszur może dla tego, że z niewiastami mało dotąd przestawał, miał o nich nieszczególne wyobrażenie i nieraz mawiał, że u nich długie włosy, ale rozum krótki. Kto wie zatem, czy i ta wszystkiego nie popsuje...

Ale trudna rada! Skoro kość była już rzucona i zdał się na jej łaskę, należało tedy czynić, czego od niego żądała.

Uspakajało go tylko to, że ta, w której ręce składał swoje losy, była w rzeczy samej ową Tereską, którą poznał ongi w opactwie. Co do tego nie mógł się już łudzić po ostatniej z nią rozmowie. Wszak słyszał jej głos, czuł jej energię i znów go „słoniem" nazwała. Z taką łatwiej niż z mężczyzną mógł się puścić na najniebezpieczniejsze przedsięwzięcie.

Tu, o kilka set mil od Melsztyna, przestał jej sie bać, bo przecie nie było tu komesa, na którego ona zastawiała sidła. Im dłużej o niej myślał, tem więcej z nią się godził, gdyż przypomniał sobie także, jak dzielnie zachowywała się w więzieniu Husa, którego chciała uwolnić z rąk jego oprawców.

Jakim cudem się tu dostała, o to postanowił ją później szczegółowo wypytać, teraz zaś należało wykonać plan ucieczki.

Ciemno było że oko wykol, gdy najmocniejszą klacz na uździe prowadząc, zbliżał się do jurty. Na stepie było cicho. Tylko gdzieś z łoziny wzdłuż rzeki rosnącej, dolatywały pierwsze akordy słowika, który często urywając dopiero głosu próbował. Ten jednak prędko umilkł, poczem step zupełnie ogłuchł. Światła nie było także nigdzie widać. Młoda trawa uginała się pod nogami idących cicho szeleszcząc, ale ledwie przeszli, nazad powstawała. Pietrasz stanął przed akacją, która na jakie sto kroków od jurty rosła, przywiązał do niej klacz, i odtąd jak gad zaczął się na brzuchu czołgać. Nie widział jeszcze jurty, gdy usłyszał ciche klaskanie w dłonie. Serce gwałtowniej mu uderzyło, a bojaźń oddech zaparła. Ktoby to był? Za chwilę znów ktoś klasnął, tym razem głośniej. Ponieważ psy nie szczekały, więc nie mógł to być nikt inny, jeno ta, która mu tu przyjść kazała. Skoczył więc i przy jurcie stanął. Mimo grubych ciemności ujrzał przed sobą postać niewieścią

— To wy? — zapytał.

— Jużem myślała, stary ośle, że czekać tu będę na ciebie do dnia sądnego! — rzekła tarczę mu podając. — Bierz! i chodźmy, by w innych jurtach nie pobudziło się przypadkiem nasienie pogańskie.

— Tamte stoją daleko, ale w tej...

— O tych, co tu śpią, bądź spokojny... Takem o nich pomyślała, że może się obudzą dopiero na sądzie ostatecznym. A koń jest?

— Jest tam, przywiązany.

— Chodźmy!

Cicho, jak rysie, gdy nocą na łowy się wybierają, zbliżyli się do akacji. Nim jednak Pietrasz konia odwiązał, zwrócił się jednak do swojej towarzyszki i zapytał:

— A pierścień?

— Jest, lecz dostaniesz go dopiero za dnia, bom go schowała aby nie zginął. Siadaj!

Pietrasz jednym susem skoczył na konia, poczem ona za nim siadła i jak wszystkie niewiasty ówczesne za szyję go objęła.

— Dobrze wam?

— Doskonale! Jedź!

Pietrasz uderzył klacz ostrogami, w które się tego dnia zaopatrzył. Klacz była nie bardzo rosła, lecz silna, jak w ogóle wszystkie konie na tych stepach urodzone; z początku szła też bardzo dobrze, wszelako niebawem podwójny ciężar zaczął jej dolegać. Wiszur był niezmiernie kościsty, towarzyszka zaś jego ważyła najmniej tyle co on, jeżeli nie więcej. Gdy do rzeki dojechali, nad którą leżała ławica grząskiego piasku, klacz zaczęła sapać i tylko z największym wysiłkiem brnęła przez piasek. Wiszur ją zatrzymał.

— Co robisz? — spytała niewiasta?

— Muszę zsiąść, bo inaczej kobyła padnie. Wy trzymajcie tylko mocno tarczę, żeby nie utonęła, a ja przeprawię się po tatarsku. Dobrze, że od tych skurczybyków człek choć tyle skorzystał. Wprawdzie na kąpiel jeszcze za wcześnie, bo woda bardzo zimna, ale co robić, wiele ten czyni, kto musi. Posłuchajmy, czy kto nie pędzi.

Słuchali. Koło jurt było cicho i ciemno; pies nigdzie nie zaszczekał, a i słowik w łozinie umilkł. Wszystko więc wskazywało, że ucieczka się powiodła. Teraz należało z czasu skorzystać i co prędzej na drugi brzeg się przeprawić.

Wiszur zrzucił odzienie, a same tylko buty z ostrogami na nogach zostawił, jak mógł najlepiej związał węzełek rękawami od kaftana i oddał go Teresie, potem lewą ręką chwycił się ogona klaczy, a prawą z całej siły ją uderzył. Klacz rzuciła się w wodę. W pierwszej chwili wzburzona fala wszystkich zlała, wszelako niebawem klacz na wierzch wypłynęła, i łeb nad wodę podniósłszy, zaczęła prychać. Wiszur spojrzał, co się stało z jego towarzyszką. Siedziała jak przykuta do grzbietu. Odtąd kilka minut klacz płynęła spokojnie, podobna do łodzi, mającej zamiast masztu kobietę, zamiast żaglu: tarczę w górę podniesioną, a zamiast steru: chłopa u ogona. W miarę jednak jak się od brzegu oddalała, zaczęła się niepokoić, a po niejakim czasie usiłowała nawet w bok skręcić i nawrócić. Wtedy Wiszur zawołał:

— Trzymajcie ją dobrze, bo będzie źle! Nad samym wieczorem zarznąłem jej źrebię, aby za nią nie biegło, ale ona o tem nie wie i chce do niego wrócić. Trzymajcie!

Tereska nie potrzebowała tego ostrzeżenia. Ona silną ręką pociągnęła już wędzidło, a że klacz była miękka w pysku, więc rada nie rada musiała się na wprost skierować. Lecz że miłość matki brała w jej sercu górę nad innemi uczuciami, przeto głowę wyżej podniósłszy, tak głośno teraz zarżała, że usłyszały ją konie na stepie i rżeniem odpowiedziały.

— Masz djable bal! — mruknął Wiszur.

Jakiś czas było cicho, ale nim Pietrasz *Pater noster* odmówił wzdłuż brzegu, który właśnie opuścili, zaczęło dudnieć i niebawem kilkadziesiąt koni nad wodą zarżało. Klacz odpowiedziała im rżeniem przeciągłem, żałosnem, jakby się na swój los skarżyła. Na to konie jeden po drugim zaczęły skakać do wody. Równocześnie dały się słyszeć ludzkie głosy na brzegu

— Chryste Panie! Święty Pietrze! — westchnął Wiszur oczy zamykając. — Co ma być, niech będzie, ale ja się ogona nie puszczę! Zjedzą prędzej djabła rogatego niż nas dostaną... Jeżeli dopędzą, będę się bronił! Hej! głośno zawołał. — Macie tam jaką broń, bo ja sam goły jak święty turecki.

— Mam szablę i kindżał.

— Wystarczy! damy sobie z tem radę. Pilnujcie tylko tarczę i węzełka, bo w niem znajduje się całe moje mienie.

Kobieta trzymała klacz oburącz i dobrze nią kierowała. Gdy znaleźli się na środku rzeki, gdzie prąd był bardzo silny, klacz zaczęła płynąć w ukos, a że siły ją opuszczały, więc zachodziła obawa, iż utonie. Po dwakroć zanurzyła się nawet z głową, lecz szczęśliwie wypłynęła, i resztek sił dobywając, zmierzała ku brzegowi. Nareszcie kobieta spostrzegła przed sobą jakąś masę niewyraźną, ciemniejszą od całego otoczenia. Jeszcze chwila, a koń i ci co przy jego pomocy rzekę przepłynęli, ujrzeli się nareszcie u brzegu. Był on jednak w tem miejscu tak stromy, acz nie wysoki (woda miała przy nim wciąż jednakową głębokość), że klacz napróżno usiłowała wyskoczyć. Pod jej przedniemi nogami ziemia wciąż się urywała, i biedne zwierzę w głębię wpadało. Wiszur widząc niebezpieczeństwo, puścił z ręki ogon, i uderzywszy kilka razy żylastemi ramionami, przypłynął do brzegu. Wdrapać się na niego było dlań dziełem jednej chwili. Gdy to uczynił, krzyknął do kobiety:

— Rzućcie mi uzdę!

Ledwie ją złapał, zaraz konia silnie do siebie pociągnął. Teraz klacz wspierając się przedniemi nogami o brzeg, głowę w górę zadarła.

— Przeleźcie do mnie po jej łbie! — znów zawołał.

Tereska, mimo że była otyła i choć ciemność ją oblewała, stanęła najpierw na grzbiecie klaczy, potem na jej karku, w końcu ruchem rozpaczliwem skoczyła na jej łeb, a z niego na ziemię upadła.

— Doskonale! Taka niewiasta więcej warta niż nie jeden chłop! — zawołał Wiszur, i nie myśląc o niej więcej, puścił się wzdłuż brzegu. Klacz na uździe prowadzona, upłynęła jeszcze kilkadziesiąt kroków, póki nie natrafiła na mieliznę. Wtedy wydostała się szczęśliwie z wody, a stanąwszy na brzegu, zaczęła gwałtownie robić bokami. Wiszur przyprowadził ją do swojej towarzyszki, która tymczasem z ziemi się podniosła.

— Tarcza jest? — zapytał.

— Jest, ale węzełek djabli wzięli! — odpowiedziała dzwoniąc zębami. Z jej odzienia lała się zimna woda, bo choć na niebie był kwiecień, kra falą z północy niesiona dotąd nie spłynęła.

— Nie ma mego węzełka? — jęknął Wiszur. — Teraz jeszcze pół biedy, mokra odzież nie wiele by mi pomogła, ale czem ja za dnia grzeszne ciało przykryję?

— Będzie czas o tem w dzień myśleć, a teraz, siadajmy, bo zdaje mi się że za nami pędzą.

W rzeczy samej na rzece słychać było prychanie koni, płynących prosto ku niemu.

— Jechać jeszcze nie możem, bo kobyła nam paonie! Dajcie mi lepiej tarczę i szablę, a zobaczycie, że i was i siebie obronię. Zresztą łatwiej pobić ich teraz, gdy będą z wody wyłazili. Brm! jakie zimno! Byle prędko przyszli, to człek by się przy nich choć trochę zagrzał.

Musiała uznać, że miał słuszność, skoro szablę odpasała, z tarczą mu ją podając, rzekła:

— Bierz! jak nas napadną, ja także nie będę próżnowała.

Wiszur przywiązał sobie szablę do nagiego pasa, a tarczę wziął na ramię. Choć bardzo było ciemno, chlupanie jednak wody w jego butach wskazywało gdzie się znajdował.

Gdy płynące konie do brzegu się zbliżyły i tak samo jak klacz napróżno usiłowały wylądować, wtedy Wiszur postąpił kilka kroków i zawołał:

— Jest tam kto?

Cicho — tylko woda szumi i konie prychają. Krzyknął jeszcze raz, lecz nikt mu nie odpowiedział.

— Nie ma żadnego skurczybyka! — wesoło zawołał. — Myśmy się przeprawili, bo nam pilno do domu, ale te psubraty nie pójdą nocą do zimnej wody... Biedne koniska same się za nami puściły, bo im było żal Wiszura. Nie darmom ich doglądał! Poczekajcie tu chwilę — rzekł do kobiety — ja zaraz wrócę. Skoro tak dobrze poszło, więc da Bóg, że jeszcze jakiego konia wyłowię. A zdałby się, bo kobyła djablej osłabła.

To powiedziawszy, chwycił klacz za uzdę i cwałem pobiegł ku onemu miejscu, gdzie ona przed chwilą wylądowała. Ponieważ klacz bez przerwy rżała, przeto konie w wodzie będące teraz za jej głosem wzdłuż brzegu płynęły.

W ten sposób kilka z nich dostało się szczęśliwie do miejsca miałkiego i na brzeg wyskoczyło. Inne fala po rzece rozniosła i te w części gdzieindziej wylądowały, a w części potonęły.

Podczas gdy Wiszur wzrok wytężał, aby koniom się przypatrzeć, kobieta przyszła do niego.

— Co poczniem? — zapytała.

— Siadajcie na kobyłę i jedźcie prosto, gdzie Bóg da! Ja zaś złapię sobie innego konia i za wami pospieszę.

Z temi słowy podskoczył ku najbliższemu rumakowi, i nim ten miał czas spostrzedz co mu grozi, już Wiszur siedział na jego grzbiecie i mocno grzywy się chwycił. Koń rozgniewany wierzgnął raz i drugi, ba! nawet dęba stanął, lecz gdy się przekonał, że Wiszur trzyma go jak kleszcz, dał pokój wszystkiemu i galopem puścił się za klaczą.

Przodem mknęła tedy niewiasta w mokrem odzieniu, za nią, niby zły duch hulający nocą po stepie, pędził Pietrasz Wiszur, mający za jedyny strój: buty z ostrogami na nogach, za osłonę: tarczę na ramieniu, a za broń: krzywą szablę u nagiego pasa. W tyle galopowały trzy najpiękniejsze konie ze stadniny Alego.

Dzika ta jazda trwała całą noc. Step był równy, nigdzie ani rowu ani strumyka, niska trawa nie tamowała także biegu, konie zaś odpocząwszy po zimnej kąpieli, mknęły teraz ze zdwojonemi siłami, zwłaszcza że kobieta żgała swoją klacz ostrzem kindżału, a mężczyzna bódł swego wierzchowca ostrogami do krwi. Biedne zwierzęta wyciągały się jak struny, a choć w tym pędzie szalonym ledwie mogły powietrza zachwycić, mknęły jednak wciąż z równą szybkością, jakby uciekały przed śmiercią, co za niemi spieszyła.

Minęła wreszcie noc i na niebie szarzeć zaczęło. Dokoła kraj był płaski, monotonny, jakby pustynny. W miarę jak się rozjaśniało, rysował się jednak coraz wyraźniej w stronie północnej smug sinawy, w którym bystre oko Wiszura poznało las. Na ten widok zarżał on radośnie, konie mu nie odpowiedziały. Z ich piersi rozległych ulatywały już ostatnie tchnienia. Wiszur czując, że jego wierzchowiec pod nim się rozpiera, dobył szabli i jął po najpierw płazować, potem kłóć po bokach. Biedne zwierzęta spełniły bohatersko swój obowiązek, ale gdy do lasu dobiegły, padła najpierw klacz, po niej jej towarzysz.

Właśnie na niebo wstąpiło słońce płomienne.

Teresa tak była utrudzona jazdą całonocną, że nie mogła ruszyć ani ręką, ani nogą. Najpierw leżała na ziemi z przymkniętemi oczyma, gdy zaś promienie słoneczne ogrzały trochę jej zimną odzież, głęboko usnęła. Spała tak kilka godzin. Nareszcie otworzyła oczy. Była sama jedna. Przed nią o kilka kroków leżały oba konie. Jeden już nie żył, drugi robił jeszcze bokami. Inne rozbiegły się po lesie. Choć mężnego była serca, jednak gdy sama się ujrzała, zdjął ją lęk.

— Pietrasz! Pietrasz! — zawołała.

— Tu! — dał się słyszeć głos z najbliższego krzaku.

— Czemuś do djabła odszedł i mnie samą zostawił? Mógłby mnie tu kto zamordować i pierścień twój zabrać.

— Nie bójcie się! Już ja nad wami czuwam. Zresztą tu nie widać nawet psa, nie dopiero człowieka.

— Chodź tu! niech ci w zęby zajrzę, czyś ten sam.

— Wierzcie mi na słowo, żem ten sam, ale nie mogę się wam pokazać, bo nie mam czem przykryć ciała grzesznego. Zgubiliście mój węzełek i teraz doprawdy wyglądam jak święty turecki.

— Głupiś! nibym to ja chłopa nie widziała.

— Możeście widzieli, ale ja w takim stroju jeszczem nigdy żadnej niewieście w oczy nie patrzył.

— To zasłoń się tarczą.

— Kiedy krótka... Ale poczekajcie chwilę a złemu zaradzę. Zaraz wyplotę sobie zasłonę z cienkich gałązek, bo tu, niestety, nie ma liści figowych.

— Czy cię Pan Bóg odstąpił? Gotówbyś robić do wieczora i jeszcze nie skończyć. A tu trzeba dalej się wynosić, by nas kto nie napadł. Chodź że więc! byle prędko.

— Nie mogę, bom człek skromny... Tej cnoty chrześcjańskiej nauczyli mnie w klasztorze.

Kobieta rozgniewana z ziemi się zerwała, by pójść za zbiegiem. Ledwie jednak zrobiła kilka kroków, stanęła, bo dobra myśl przyszła jej do głowy. Opuszczając jurtę, jako niewiasta przezorna, wzięła na siebie co najlepsze szaty, między innemi trzy czy cztery spodnice. Nie wiele myśląc, zdjęła teraz z nich jednę i rzuciwszy ją na ten krzak, w który Wiszur siedział, zawołała:

— Okryj się i zaraz mi wyłaź bo inaczej za uszy cię ztamtąd wyciągnę!

Ton jej głosu tak był rozkazujący, że Pietraszowi aż zimno przeszło po kościach. Zmiarkowawszy, że opór wszelki byłby tu daremny a walka z nią niebezpieczna, wziął rad nie rad spodnicę, przywdział ją jak umiał i za chwilę w paradzie przed nią wystąpił. Uśmiechnęła się na jego widok. Wspaniale bo też wyglądał. Bez czapki, bo tę w drodze zgubił, nagi do pasa, a mokrą spodnicą, co mu do ciała przylegała, osłonięty u dołu, z krzywą szablą u boku a ze złocistą tarczą na ramieniu, suchy, czarny, obrośnięty i brodaty, był prędzej podobny do człowieka dzikiego, niż do dworzanina małopolskiego komesa. Mimo to w jego twarzy było coś dobrodusznego, jowialnego, coś, czem sobie wszystkich zjednywał. I choć dziko wyglądał, nie musiał być ludzkich uczuć pozbawiony, skoro na widok młodej kobiety oczy mu się zaświeciły a usta uśmiechnęły...

Nim zaczęli radzić, co dalej czynić, uklękli wpierw oboje i Bogu podziękowali, że ich szczęśliwie z niewoli wyprowadził. Potem Pietrasz o pierścień zapytał. Na to Teresa rozpięła chusty na piersiach i z zanadrza wyjęła palec zakrwawiony, na którym tkwił jeszcze sygnet wojewody. Usiłowała go zdjąć, lecz nie mogła. Wtedy palec chwyciła w zęby i oburącz pierścień pociągnęła. Nareszcie zsunął się razem ze skórą palca.

— Masz! — rzekła, podając go Wiszurowi.

— Bóg zapłać! Ale powiedźcie mi jakimście go cudem dostali? — zapytał ukosem na nią poglądając.

— Ucięłam palec i koniec.

— Ale, że ten poganin pozwolił go sobie odkroić.

— Musiał! — śmiejąc się zawołała. — Z wieczora przygotowałam kumysz takiem zielem, po którym człowiek śpi jak zabity, a czasem nawet całkiem nie wstaje. Pousypiali też wszyscy. Jeden Ali długo mi się przewracał. Wtedy nie wiele myśląc wydobyłam kindżał i raz pociągnęłam go po szyi, drugi raz po palcu. To wystarczyło.

— Nie wątpię! — szepnął Wiszur. — Dzielna z was niewiasta, nie gorsza od Judyty, szkoda tylko, żeście się chłopem nie urodzili. Ale trudna rada, co się raz stało, tego już nie odrobić. Teraz Ali przekonał się, czy Wiszur był dobrym wróżbitą, gdy mu przepowiadał, że będzie żył do samej śmierci. Tak się też stało. Ciekawym, co ten skurczybyk myśli na tamtym świecie... Zapewne, że największe głupstwo wtedy palnął, gdy Niemkę wziął sobie za żonę. A to psubrat wyszedł.

— Cicho! bo kto wie czy i ty nie popełnisz kiedyś tego samego głupstwa! — zawołała kindżałem mu grożąc.

— Ja? Ej, chyba to już nie nastąpi. Ustrzegł mnie mój święty patron dotychczas, ustrzeże mnie i na później.

— Prawdę powiedziałeś. Alboż na świecie jest niewiasta, któraby chciała takiego paskudnego i starego chłopa, jak ty.

Pietrasz skręcił się jakby go bąk w nos ukłół.

— Żem brzydki, wiem, ale żem nie stary, to tak pewne jak to, że teraz słońce świeci. Ja tylko tak nieszczęśliwie wyglądam i to od samego urodzenia. Nie, nie, gołąbeczko — dodał z uśmiechem do niej się przysuwając — ja sam wiem najlepiej czym stary.

Rzekłszy to chciał ją wziąć za brodę, ale ona mu rękę odtrąciła.

— Dałbyś pokój! — zawołała. — Pomyślmy lepiej co dalej czynić. Słońce już wysoko!

Wiszur odsunął się od niej, a choć wkrótce czem innem był zajęty, jednakowoż wciąż ku niej zerkał. Niebezpieczeństwo i samotność zupełnie go z nią pogodziły.

Po walnej naradzie na tem stanęło, że konia, który dogorywał, zaraz dobiją, by z jego mięsa zrobić pieczenie, a ze skóry pokrycie na tarczę. Ostrożność była niezbędną, gdyż w dalszej podróży mogliby się źli ludzie złakomić na złoto i klejnoty świecące na tarczy.

(C. d. n.)

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Józef Laskownicki.

Z Drukarni „Dziennika Polskiego" pod zarządem Jana Mittiga.